

Katarzyna Sierakowska, *Śmierć, Wypnanie, Głód w dokumentach osobistych. Ziemie polskie w latach Wielkiej Wojny 1914–1918*, Warszawa 2015, Instytut Historii PAN, ss. 268

Absolwentka Wydziału Historii UW, obecnie zaś specjalista badawczo-techniczny w Instytucie Historii PAN, dr hab. Katarzyna Sierakowska jest obecna w rodzimym życiu naukowym od początku XXI stulecia. Dorobek naukowy, obejmujący nieco ponad 20 artykułów, studiów i szkiców, kilka haseł encyklopedycznych i recenzji oraz dziewięć zredagowanych, wspólnie bądź zespołowo, tomów, trudno uznać za szczególnie obfity. Wszelako, co warto podkreślić, układa się on w wyraziste, zwarte kręgi tematyczne. Obszar szczególnie preferowany, po którym Autorka recenzowanej pracy porusza się ze znaczną swobodą, sytuuje się w obrębie historii społecznej, zaś chronologiczne ramy obejmują okres pomiędzy ostatnim XIX-wiecznym niepodległościowym zrywem po kres II Rzeczypospolitej. Bohaterkami zdecydowanej większości prac, które Sierakowska opublikowała, są z kolei kobiety, by wskazać na próbę opisu początków polskiego ruchu feministycznego, a w konsekwencji eksploracja najrozmaitszych pól kobiecej aktywności tak w drugiej połowie XIX, jak i pierwszej XX stulecia. Ta właśnie perspektywa badawcza poszerzona została wreszcie o studia odnoszące się do pozycji rodziny oraz przemian zachodzących w jej obrębie.

W ostatnich kilku latach w dorobku K. Sierakowskiej problematyka kobieca przecięła się z okresem I wojny światowej. Nurt ten zapoczątkował tekst odnoszący się do losów kobiet-uchodźców (przygotowany głównie w oparciu o wydane w okresie międzywojennym wspomnienia Z. Lasockiego)¹, uzupełniony w latach 2013–2014 o trzy kolejne, poświęcone refleksji nad źródłami przydatnymi dla tejże problematyki, mechanizmom konstruowania pamięci o walkach kobiet podczas Wielkiej Wojny, po szerszy badawczy rekonesans chronologicznie obejmujący okres obydwu światowych kataklizmów². W tym samym czasie Autorka dobitnie zasygnalizowała również podjęcie badań, które finalnie przełożyły się na opublikowaną w roku 2015 recenzowaną tu monografię. Powstały też cztery oddzielne studia, oparte na dokumentach osobistych, prasie oraz źródłach rękopiśmiennych, ukazujące szczególną relację okopową: żołnierz – śmierć, problem głodu i obraz cierpienia, by zamknąć te rozważania refleksją nad tym, co w latach Wielkiej Wojny wzbudzało lęk pośród mieszkańców ziem polskich, zwłaszcza Królestwa i Galicji³.

¹ *Kobiety – uchodźcy z ziem polskich w czasie I wojny światowej – kilka refleksji*, w: *Kobiety i procesy migracyjne*, red. A. Chlebowska, K. Sierakowska, Warszawa 2010.

² *Kobiety dokument osobisty z czasów I wojny światowej jako źródło historyczne*, w: *Człowiek, społeczeństwo, źródło. Studia dedykowane profesor Jadwidze Hoff*, red. Sz. Kozak, D. Opałiński, J. Polaczek, Sz. Wiczorek, W. Zawitkowska, Rzeszów 2014; *Kobieta – żołnierka. Kilka uwag o konstruowaniu pamięci o walkach kobiet w latach pierwszej wojny światowej, w: Polska w XIX i XX wieku. Społeczeństwo i gospodarka*, red. W. Caban, M.B. Markowski, J. Muszyńska, M. Przeniosło, Kielce 2013; *Kobiety polskie w wojnach światowych 1914–1945. Rekonesans*, w: *Kobiety w wojnach i konfliktach polityczno-społecznych na ziemiach polskich w pierwszej połowie XX wieku. Wybrane zagadnienia*, red. T. Kulak, A. Chlebowska, Wrocław 2014.

³ *Żołnierze polscy w okopach pierwszej wojny światowej a śmierć*, w: *Choroba i śmierć w perspektywie społecznej w XIII–XXI wieku*, red. D.K. Chojecki, E. Włodarczyk, Warszawa 2010; *Braki w zaopatrzeniu – niedożywienie – głód. Ziemie polskie w latach 1914–1918*, w: *Wielka Wojna poza linią frontu*, red. nauk. D. Grinberg, J. Snopko, G. Zackiewicz, Białystok 2013;

Monografia *Śmierć, Wygnanie, Głód w dokumentach osobistych. Ziemia polskie w latach Wielkiej Wojny 1914–1918* jest w obrębie rodzimej historiografii zjawiskiem unikalnym. Spojrzenie na szczególnie istotne elementy, składające się na wojenną traumę z perspektywy osobistych świadectw, w tym najcenniejszych, bo powstałych bezpośrednio w tamtym okresie, zaowocowało odtworzeniem obrazu wojennej rzeczywistości, jakiego na gruncie polskim nikt do tej pory nie dokonał. Wybór obszaru badawczego zasługuje zatem na szczególne uznanie, zaś źródłowa baza, związana z zamierzoną typizacją wykorzystanych dokumentów, generalnie nie budzi zastrzeżeń. Nie wzbudza ich również wytyczenie granic chronologicznych obejmujących lata Wielkiej Wojny, zaś obraz, przedstawiony przez Autorkę, jawi się jako dobrze udokumentowany tudzież narracyjnie spójny.

Podstawę źródłową monografii stanowią przede wszystkim dzienniki, pamiętniki oraz listy, powstałe podczas wojny i okresu tego dotyczące, zarówno wydane drukiem, jak i przechowywane w zbiorach rękopiśmiennych Biblioteki Narodowej, Biblioteki Jagiellońskiej, Ossolineum, krakowskiej Biblioteki PAN, a nawet placówek tak niewielkich, jak Muzeum Regionalne PTTK w Gorlicach czy Archiwum Zgromadzenia Córki Maryi Niepokalanej. W mniejszym stopniu wyzyskana została prasa (w bibliografii Autorka w większości przypadków ogranicza się do wymienienia tytułu, bez podania, z jakich roczników korzystała), ilustracyjnie potraktowane zaś zostały nieliczne ukazujące czas wojny powieści (pośród których zabrakło przykładowo dokonań J. Kadena-Bandrowskiego). Analizę K. Sierakowska objęła „ok. 80 dzienników i pamiętników, które zostały spisane w latach 1914–1919 oraz 12 zespołów listów” (s. 17). W moim przekonaniu stanowią one wystarczającą podstawę tak do prowadzenia analiz, jak też weryfikowania badawczych pytań i konstruowania wniosków, niemniej jednak godzi się zauważyć, że zestaw, przygotowany przez Autorkę, mógł przyjąć nieco bardziej wyrazisty kształt. Sierakowska, skądinąd całkowicie słusznie, skonstatowała, że z lat I wojny światowej zachowało się „znacznie mniej wspomnień kobiet niż mężczyzn” (s. 20), toteż logiczna wydaje się próba zniwelowania owej dysproporcji. Wykorzystanie zatem przechowywanego w Ossolineum dziennika I. Stabilewskiej, znajdujących się w Bibliotece Narodowej diariuszy F. Skarbkowej czy M. z Lubieńskich Górskiej, opisu wojennych przeżyć B. Bobrowskiej czy pamiętnika J. Studzińskiej proporcje te mogłoby zmienić. Z zastrzeżenia tego nie czynię dyskwalifikującego pracę zarzutu, nie znam bowiem ani zasad selekcji materiału źródłowego, którymi kierowała się Autorka, ani też nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, czy wymienione przez mnie tytułem przykładu źródła nie były jej znane bądź też zostały celowo pominięte. Jestem wszakże przekonany, że w pracy, w której dokumenty osobiste stanowią źródło tworzące fundament narracji autorskiej, kwerendą powinno się objąć możliwie pełny zestaw archiwów i działów rękopiśmiennych bibliotek naukowych. Poza badawczym oglądem Autorki pozostało tym samym całkiem sporo materiału o charakterze – z punktu widzenia tematu pracy – podstawowym, zapewne niezmiennającym generalnych wniosków, ale mogącym wydatnie poszerzyć egzemplifikacyjne spektrum.

Źródła, zgromadzone i wyzyskane w monografii, miały przynieść odpowiedzi na kilka niezwykle istotnych pytań badawczych. Pierwsze, generalnej natury, sprowadzało

„*Niech się nasi bracia, ojcowie i matki dowiedzą [...] jakich se to wychowali bohaterów*”. *Cierpienie w relacjach żołnierzy Polaków 1914–1918*, w: *Zapiski cierpienia*, red. K. Stańczak-Wiślicz, Wrocław 2011; *Lęk przed śmiercią, bezdomnością, demoralizacją. Polki i Polacy 1914–1918*, „Przegląd Humanistyczny” 2014, nr 6.

się do z pozoru oczywistej konstatacji o ich przydatności dla historyka, szczególnie po to, by w oparciu o zawarte w nich informacje „uchwycić dynamikę i specyfikę wojennego przeżycia” (s. 33), wyznaczanego przechodzeniem od niecodzienności w zwyczajność. Ważny element refleksji odnoszącej się do przydatności stanowiła również obserwacja, czy „źródła tworzone na bieżąco w latach 1914–1920 są bardziej przydatne dla historyka niż te powstałe później i w jakich obszarach tę większą przydatność można zaobserwować” (s. 33). Kolejny, istotny problem wiąże się z próbą określenia, „w jakim kierunku uczestnicy wydarzeń kreują i aktywnie interpretują zdarzenia i procesy społeczne, «w których zostały uwikłane ich biografie»” (s. 34), co łączy się wreszcie z refleksją, w jakim stopniu wyniesione z wojny doświadczenia stały się „dla ludności traumatyzujące i czy ewentualna trauma odbija się w relacjach powstających w okresie wojny” (s. 35).

Wszystkie te kwestie Autorka rozważała w trzech podstawowych segmentach poświęconych kolejno zjawisku śmierci, wygnania i głodu, poprzedzonych przedstawieniem ewolucji społecznych postaw „od euforii/ traumy do codzienności wojennej” (s. 37 i n.). Obrazy, wydobywane ze źródeł, są plastyczne, doskonale ilustrują wywód autorski. Analizę cechuje dociekliwość i umiejętność dostrzegania nie zawsze oczywistych znaczeń. Sygnalizowana „genderowa” wrażliwość Autorki nie prowadzi do nadinterpretacji czy przekłamań, toteż z warsztatowego punktu widzenia mamy do czynienia z dziełem rzetelnym i dojrzałym. I trudno po lekturze książki nie podzielić finalnej konstatacji, jednoznacznie wynikającej ze zgromadzonego źródłowego materiału, że „bliższe przyjrzenie się dokumentom osobistym prowadzi do stwierdzenia, że dla mieszkańców ziem polskich pierwsza wojna światowa była jednak – przynajmniej dopóki trwała – Wielką Wojną” (s. 241).

Recenzowaną monografię oceniam zatem wysoko, uznając, że stanowi ona istotny wkład do poszerzenia obrazu lat 1914–1918. Co ważniejsze, śmiało wkroczenie na w praktyce puste pole badawcze zakończyło się sukcesem poznawczym. I choć można zgłaszać zastrzeżenia zwłaszcza w odniesieniu do głębokości samej kwerendy źródłowej, nie ulega wątpliwości, że zarówno orientacja w przedmiocie badań, jak i krytyczne wyzyskanie literatury przedmiotu dowodnie wskazują, że mamy do czynienia z badaczką wyrazistą i w pełni samodzielną.

Włodzimierz Suleja
Wrocław

Przemysław Hauser, *Przedstawiciele mniejszości niemieckiej w parlamencie II Rzeczypospolitej*, Warszawa 2014, Wydawnictwo Sejmowe, ss. 478

Autora prezentowanej pracy, prof. Przemysława Hausera, wybitnego historyka, przedstawiciela poznańskiej szkoły historycznej, nie ma potrzeby szerzej przedstawiać. Jego pozycję w historiografii polskiej ugruntowały wydane przezeń książki i artykuły oraz wydawnictwa źródłowe poświęcone historii Polski XIX i XX w., zwłaszcza cenione przez polską i niemiecką krytykę naukową studia i rozprawy dotyczące różnych aspektów stosunków polsko-niemieckich, dziejów mniejszości niemieckiej w II Rzeczypospolitej. W książce ostatnio opublikowanej Przemysław Hauser zajął się bardzo ważną płaszczyzną aktywności elit niemieckich w Polsce międzywojennej,

jaką stanowiła działalność ich przedstawicieli na forum polskiego parlamentu. Warto przypomnieć, iż wcześniej ukazały się już prace przedstawiające działalność reprezentantów mniejszości narodowych w polskim parlamencie w okresie międzywojennym¹.

Monografia tu omawiana jest oparta na rozległych materiałach źródłowych wytworzonych przez Sejm i Senat RP (sprawozdania stenograficzne, interpelacje, druki sejmowe i senackie), dokumentacji archiwalnej polskich władz administracyjnych, policyjnych i wojskowych, a także na dokumentach niemieckich, zasobach korespondencji dotyczącej mniejszości, a przechowywanych w Auswärtiges Amt w Berlinie. Autor wykorzystał również edycje źródłowe, przeprowadził kwerendę w prasie niemieckiej i polskiej wydawanej w okresie międzywojennym. Solidna i kompetentnie dobrana, różnorodna baza źródłowa to duża zaleta prezentowanej pracy. Godna odnotowania jest przytoczona w jej bibliografii bogata literatura przedmiotu, świadcząca o gruntownej znajomości historiografii polskiej i niemieckiej w zakresie omawianej w książce tematyki.

Praca składa się ze wstępu, wprowadzenia, sześciu rozdziałów, zakończenia i bibliografii, została także zaopatrzona w aneksy (zawierające wykaz posłów i senatorów niemieckich poszczególnych kadencji oraz noty biograficzne parlamentarzystów), wykaz skrótów i indeks nazwisk. Struktura monografii jest przejrzysta, skonstruowana w układzie chronologicznym. Cezury rozdziałów wyznaczają kadencje polskiego parlamentu, wyodrębniono w nich podrozdziały problemowe, przy czym każdy rozdział otwiera podrozdział poświęcony kolejnym wyborom parlamentarnym. W zakończeniu rozdziałów znajdujemy syntetyczne podsumowanie działalności parlamentarzystów niemieckich w poszczególnych kadencjach Sejmu i Senatu. Tytuły rozdziałów i podrozdziałów trafnie sygnalizują ich zawartość. Zastosowanie takiej koncepcji redakcyjnej sprzyja klarowności wykładu.

Autor we wstępie omówił podstawowe trendy w polskiej i niemieckiej literaturze naukowej dotyczącej dziejów mniejszości niemieckiej w Polsce międzywojennej, a także bazę źródłową pracy, precyzyjnie określił cele i założenia rozprawy. Słusznie podkreślił, iż poza odtworzeniem aktywności parlamentarzystów niemieckich na forum Sejmu i Senatu istnieje „potrzeba nowego, bardziej wieloaspektowego spojrzenia na działalność niemieckich posłów i senatorów w szerszym kontekście ich poczynañ w organizacjach mniejszości, a także z uwzględnieniem nie tylko mentalnych, lecz i konkretnych pośrednich lub bezpośrednich kontaktów z Rzeszą”.

We wprowadzeniu P. Hauser zarysował oblicze ludności niemieckiej w państwie polskim (liczba, rozmieszczenie, struktura społeczna), wskazując na jej zróżnicowanie pod względem poziomu cywilizacyjnego, pozycji ekonomicznej, statusu społecznego, form życia kulturalnego i wyznaniowego, tradycji i mentalności. Przedstawił stanowisko Rzeszy wobec mniejszości niemieckiej w Polsce, a także układ sił politycznych w tej społeczności i stosunek poszczególnych ugrupowań do państwa polskiego.

W rozdziale I, obejmującym okres funkcjonowania Sejmu Ustawodawczego, omówił etapy formowania się niemieckiej reprezentacji parlamentarnej, poczynając od

¹ Zob. np.: J. Fałowski, *Parlamentarzyści mniejszości niemieckiej w Drugiej Rzeczypospolitej*, Częstochowa 2000; idem, *Posłowie żydowscy w Sejmie Ustawodawczym 1919–1922*, Częstochowa 2000; idem, *Mniejszość żydowska w parlamencie II Rzeczypospolitej (1922–1939)*, Kraków 2006; Sz. Rudnicki, *Żydzi w parlamencie II Rzeczypospolitej*, Warszawa 2004; M. Szumilo, *Ukraińska Reprezentacja Parlamentarna w Sejmie i Senacie RP (1928–1939)*, Warszawa 2007.

kampanii wyborczej w Polsce Centralnej (26 I 1919), poprzez wybory uzupełniające na Pomorzu (V 1920). Zaprezentował ciekawie sylwetki posłów Klubu Niemieckiego, najpierw dwuosobowego, a po wejściu do niego sześciu posłów wybranych w województwie pomorskim przemianowanego na Klub Zjednoczenia Niemieckiego. Poddał wnikliwej analizie przejawy ich aktywności na forum Sejmu, zwrócił uwagę na lojalną postawę wobec państwa polskiego reprezentantów Niemców łódzkich. Warto dodać, iż lokalna gazeta („Neue Lodzer Zeitung”) pięć dni po wyborach przekonywała, iż „musimy kochać naszą małą ojczyznę (*Heimat*) i nie możemy orientować się na Rzeszę, albowiem nie jesteśmy jej obywatelami, lecz naszym świętym obowiązkiem jest zachować narodowość”. Autor ukazał postawę wyróżniającego się pod tym względem Josefa Spickermanna, który nie tylko już na początku działalności w izbie ustawodawczej złożył znamiennej deklarację, iż „my obywatele pochodzenia niemieckiego, uważamy Polskę za naszą Ojczyznę”, ale też potem identyfikował się z polską państwowością, podjął współpracę z większością polską w parlamencie, udzielił poparcia rządowi Wincentego Witosa. Przemysław Hauser wskazał, że w postawach posłów niemieckich jednak zarysowały się różnice po wejściu przedstawicieli mniejszości niemieckiej z Pomorza do klubu parlamentarnego, który następnie pod kierownictwem nowego przewodniczącego Erwina Hasbacha zaczął prezentować jednolite oblicze polityczne, wysuwając wobec władz polskich daleko idące żądania, od spełnienia których uzależniał współpracę z rządem, zajmował też różne stanowisko wobec poszczególnych gabinetów. W rezultacie posłowie niemieccy, mniej aktywni podczas obrad plenarnych, na spotkaniach z wyborcami krytykowali politykę rządową, natomiast na forum Sejmu Ustawodawczego koncentrowali się na działaniach (interpelacje, skargi i wnioski nagłe) w obronie ludności niemieckiej w okresie zaognionych stosunków polsko-niemieckich podczas powstania i plebiscytu na Górnym Śląsku, mienia niemieckiego podlegającego likwidacji na podstawie postanowień traktatu wersalskiego, osadników (niemieckich) i optantów, szkolnictwa i niezależności Kościoła ewangelicko-augsburskiego.

Rozdział II, najobszerniejszy w pracy, traktuje o działalności niemieckich parlamentarzystów w Sejmie i Senacie I kadencji (1922–1927). Przemysław Hauser starannie omówił kampanię przedwyborczą, przekonywająco wykazał, iż nie tylko pójście niemieckich ugrupowań do wyborów w ramach Bloku Mniejszości Narodowych (BMN), ale też dobre przygotowanie organizacyjne i zdyscyplinowanie elektoratu przyniosło Niemcom, podobnie jak politykom innych mniejszości, sukces wyborczy w postaci uzyskanych 17 mandatów poselskich i 5 senatorskich, najwięcej w województwie śląskim i Polsce Centralnej. Przeprowadził także interesującą analizę składu osobowego Klubu Zjednoczenia Niemieckiego, w którym przeważali przedstawiciele warstw wyższych (ziemianie, fabrykant), inteligencji i drobnomieszczaństwa, przeważnie w średnim wieku, solidnie wykształceni, niektórzy na poziomie wyższym, o dużym doświadczeniu zawodowym i politycznym. Reprezentowali najsilniejsze niemieckie ugrupowania w Polsce, jednak większość z nich, podobnie jak prezes Klubu Eugen Naumann, była związana z opcją pravicowo-nacjonalistyczną, choć znaleźli się wśród niemieckich parlamentarzystów także socjaliści i działacze katolicki.

Działalność Klubu Zjednoczenia Niemieckiego na płaszczyźnie politycznej została obszernie i wnikliwie przedstawiona. Autor pisał o postawie parlamentarzystów niemieckich, którzy w wyborach prezydenckich poparli kandydaturę Jana Baudouina de Courtenay, a w kolejnej turze głosowania – Gabriela Narutowicza wybranego na prezydenta RP, zaś po jego zabójstwie oddali w ponownych wyborach swe głosy na Stanisława Wojciechowskiego. Dowodził, iż w ocenie Klubu przedmajowe rządy,

realizujące model państwa „narodowego”, wobec mniejszości, w tym Niemców, uprawiały politykę, która nie spełniała oczekiwań parlamentarzystów niemieckich albo była przez nich uznawana za represyjną, toteż najczęściej odmawiali poparcia kolejnym rządów. Hauser wskazał, że przychylnie przyjęli przewrót majowy 1926 r., spodziewając się pozytywnych zmian w polityce narodowościowej nowej ekipy rządzącej, ale kiedy one nie nastąpiły, krytykowali poczynania rządu i innych organów władz państwowych, głosowali też przeciwko projektom ustaw budżetowych przedkładanych przez gabinety premierów Kazimierza Bartla i Józefa Piłsudskiego. Autor omówił działalność polityczną parlamentarzystów niemieckich, związki niektórych z nich z Rzeszą, problem ich lojalności wobec państwa polskiego, represje zastosowane przez władze polskie wobec organizacji (np. Deutschtumsbund) prowadzących działania antypaństwowe, pisał o narastającym antagonizmie polsko-niemieckim na Górnym Śląsku. Przeanalizował dokładnie wystąpienia posłów i senatorów niemieckich w debatach parlamentarnych, ukazał, w jaki sposób polska większość wytykała parlamentarzystom niemieckim poglądy nacjonalistyczne, związki z władzami w Niemczech, nielojalność wobec państwa polskiego i działalność nielegalną, zauważył, iż zarzuty owe, często uzasadnione wobec niektórych z nich, wysuwano w stosunku do całego Klubu. Wskazał także, jak niektórzy z nich, nie tylko wywodzący się z ziem byłego zaboru pruskiego, ale z czasem też pochodzący z centralnej i wschodniej Polski, identyfikowali się duchowo z polityką wschodnią Rzeszy, która dążyła do rewizji polskiej granicy zachodniej ustalonej w traktatach po I wojnie światowej, krytykowali politykę zagraniczną rządów polskich.

Przemysław Hauser wykazał, iż w działalności Klubu Zjednoczenia Niemieckiego, pozostającego w konsekwentnej opozycji do władz polskich, priorytet uzyskiwały sprawy dotyczące żywotnych interesów ludności niemieckiej w Polsce. Jego przedstawiciele występowali więc w obronie praw mniejszości niemieckiej i stanu jej posiadania w różnych dziedzinach, dążyli do ograniczenia zakresu likwidacji mienia niemieckiego wynikającej z postanowień traktatu wersalskiego, sprzeciwiali się reformie rolnej uznawanej przez nich za środek „odniemczania”, bronili przed próbami polonizacyjnymi niemieckiego szkolnictwa i kościołów ewangelickich, domagali się dopuszczenia języka niemieckiego do używania w niektórych dziedzinach życia publicznego, żądali swobody działania dla swoich organizacji. Autor zauważył, iż Klub nie stanowił monolitu, ujawniły się w nim daleko idące różnice światopoglądowe i spory, choćby między reprezentantami opcji socjalistycznej i prawicowo-nacjonalistycznej, ukazał przejawy współdziałania z przedstawicielami innych mniejszości narodowych i ugrupowaniami polskiej lewicy.

W rozdziale III została przedstawiona działalność reprezentacji niemieckiej w Sejmie i Senacie II kadencji (1928–1930). Hauser w sposób interesujący zrelacjonował kolejną kampanię wyborczą, w której większość niemieckich ugrupowań poszła do wyborów ponownie w ramach BMN, a Niemcy i Ukraińcy odegrali w nim główną rolę, jednak nie przystąpili do niego socjaliści niemieccy, zawarli bowiem porozumienie wyborcze z PPS. Autor podkreślił, iż koncepcja wspólnego bloku z innymi mniejszościami, w połączeniu z umiejętnie prowadzoną przedwyborczą akcją organizacyjną i propagandową wśród wyborców, życzliwe oceny rządu marszałka Józefa Piłsudskiego i deklaracje o gotowości współpracy z władzami polskimi, a wreszcie tradycyjna mobilizacja elektoratu niemieckiego przyniosły sukces. Niemcy powiększyli swój stan posiadania w Sejmie, zdobywając 19 mandatów (z list BMN i państwowej), ponadto 2 mandaty poselskie przypadły socjalistom niemieckim. Natomiast w Senacie, podobnie

jak w poprzedniej kadencji, niemieccy kandydaci uzyskali 5 miejsc. Jednak do utworzonego Niemieckiego Klubu Parlamentarnego z prezesem Eugenem Naumannem nie przystąpili dwaj posłowie socjalistyczni. Jak wynika z przeprowadzonej przez Autora analizy, w składzie reprezentacji mniejszości niemieckiej znaleźli się doświadczeni parlamentarzyści, zarówno senatorowie (np. mający najdłuższy staż parlamentarny Josef Spickermann, Erwin Hasbach, Ernst Barczewski), jak i posłowie (np. Eugen Naumann, August Utta, Jakob Karau, Robert Piesch, Johannes Rosumek), ale także debiutujący na forum polskiego parlamentu, weszli oni też do poszczególnych komisji sejmowych i senackich.

Przemysław Hauser starannie prześledził przejawy ich aktywności w obu izbach ustawodawczych i wykazał, iż wbrew deklaracjom przedwyborczym Klub wyraźniej niż w poprzedniej kadencji eksponował opozycyjne stanowisko wobec władz polskich, a jego kierownictwo i przedstawiciele akcentowali rozczarowanie polityką rządów pomajowych wobec mniejszości niemieckiej. Posłowie i senatorowie dawali temu wyraz w wystąpieniach plenarnych na forum obu izb ustawodawczych, podobnie jak w poprzedniej kadencji koncentrowali się na sprawach dotyczących obrony niemieckiego stanu utrzymania w różnych sferach życia. Głosowali przeciwko rządowym projektom ustaw budżetowych, protestowali (także składając interpelacje) przeciw ograniczeniom wolności obywatelskich, cenzurze prasowej, szykanom administracyjnym, krytycznie oceniali polską politykę zagraniczną, domagali się poszerzenia swobód dla mniejszości niemieckiej, nagłaśniając swoje zarzuty i żądania na arenie międzynarodowej, co wykorzystywał do swoich celów Berlin. Nadal bronili stanu posiadania Niemców w dziedzinie gospodarczej, sprzeciwiając się zarówno poczynaniom państwa polskiego w ramach umowy likwidacyjnej, jak i realizacji reformy rolnej zagrażającej wielkiej własności niemieckiej. Krytykowali wysuwane przez obóz pomajowy propozycje zmian ustrojowych na rzecz zwiększenia uprawnień władzy wykonawczej, politykę ekonomiczną i podatkową rządów, oceniali jako szkodliwą ingerencję państwa w życie gospodarcze, a socjaliści niemieccy występowali w obronie praw socjalnych ludności. Uznawali za szczególnie ważne wspieranie rozwoju szkolnictwa niemieckiego, opowiadali się za autonomią kulturalną, domagali się wprowadzenia dwujęzyczności w Poznańskim, na Pomorzu i Górnym Śląsku, regulacji prawnych zapewniających równouprawnienie Kościołów ewangelickich w Polsce. Na forum parlamentu współdziałali z klubami mniejszości narodowych i ugrupowań polskiej lewicy.

Autor zwrócił uwagę na istotną tendencję w postawach i działaniach niektórych posłów i senatorów niemieckich, którzy wbrew swoim zapewnieniom o pełnej lojalności wobec państwa polskiego, w rzeczywistości swymi poczynaniami temu zaprzeczali. Nie dowierzały im władze polskie, bowiem kontynuowali związki z Berlinem, skąd uzyskiwali wsparcie moralne i materialne, kultywowali ideę identyfikacji mniejszości niemieckiej z Rzeszą jako ideologiczną ojczyznę, przy równoczesnym dążeniu do utrwalenia wśród Niemców obywateli państwa polskiego postaw dystansu czy nawet wrogości wobec niego.

Po wyborach tzw. brzeskich (XI 1930) reprezentacja niemiecka w polskim parlamencie – zagadnienie to stanowi przedmiot rozważań w rozdziale IV – została znacznie ograniczona liczebnie, tworzyło ją tylko 5 posłów i senatorów. Hauser wskazał, iż przedstawiciele mniejszości niemieckiej ponieśli dotkliwe porażki w centralnej Polsce, gdzie nie zdobyli mandatu poselskiego, tylko jeden senatorski, a także na Pomorzu, tam nie uzyskali żadnego mandatu. Jak wynika z przedstawionej analizy przebiegu kampanii przedwyborczej, na wyniki negatywny wpływ wywarły ówczesna napięta

atmosfera polityczna w kraju, będąca wynikiem konfliktu obozu rządzącego z opozycją, nasilenie nastrojów antyniemieckich w odpowiedzi na wzmagające się antypolskie i rewizjonistyczne wystąpienia polityków w Niemczech, a wreszcie fakt, iż nie udało się utworzyć bloku wyborczego z ugrupowaniami innych mniejszości narodowych. Jednak w zmniejszonym Niemieckim Klubie Parlamentarnym na czele z Eugenem Franzem, działaczem katolickim wybranym na Śląsku, znaleźli się doświadczeni politycy (m.in. posłowie Kurt Graebe, Johannes Rosumek, senatorowie August Utta, Eduard Pant, Georg Busse).

Autor ciekawie opisał ich poczynania na rzecz mniejszości niemieckiej w zmienionych warunkach politycznych, wskazując, iż dla skuteczności podejmowanych działań poszczególni parlamentarzyści wyspecjalizowali się w określonych zagadnieniach. Podkreślił, iż Klub nadal pozostawał w opozycji do rządów polskich (do 1933 r.), ale od początku kadencji w mniejszym stopniu wspierał inne ugrupowania opozycyjne na forum parlamentu. Posłowie i senatorowie niemieccy głosowali przeciwko projektom ustaw budżetowych, krytykowali działania organów państwowych, zarzucając im szykanowanie mniejszości niemieckiej. Niektórzy z nich dalej utrzymywali kontakty z Berlinem, składali skargi na rząd polski w Lidze Narodów, a równocześnie zapewniali o lojalności wobec Polski i gotowości do współpracy z rządem, ale polska opinia publiczna, polscy parlamentarzyści i władze nie dawały temu wiary, przy czym przebieg polemik na ten temat i towarzysząca im gorąca atmosfera na sali plenarnej zostały starannie odtworzone w pracy. Autor podkreślił, iż po przejęciu władzy w Niemczech niemal wszyscy parlamentarzyści niemieccy w polskich izbach ustawodawczych zaczęli identyfikować się z ideologią narodowego socjalizmu, przeciwko niej wystąpił jedynie senator Eduard Pant, przywódca partii katolików niemieckich. Natomiast po podpisaniu polsko-niemieckiej deklaracji o niestosowaniu przemocy (I 1934) Parlamentarny Klub Niemiecki i inne ugrupowania tej mniejszości pod wpływem zaleceń z Berlina zrezygnowały z postawy opozycyjnej. Autor przekonywająco wykazał, iż parlamentarzyści niemieccy zaczęli demonstracyjnie okazywać pozory lojalności wobec państwa polskiego, domagając się konsekwentnie, podobnie jak w poprzednich kadencjach, realizacji daleko idących postulatów w różnych dziedzinach życia (np. dotyczących spraw socjalnych ludności niemieckiej w warunkach kryzysu gospodarczego, szkolnictwa mniejszościowego, regulacji prawnych między państwem i Kościołami ewangelickimi), ale władze państwowe na ogół odmawiały ich spełnienia.

W rozdziale V została przedstawiona działalność reprezentantów mniejszości niemieckiej w parlamencie polskim po wejściu w życie tzw. konstytucji kwietniowej 1935 r. Jak wskazał Przemysław Hauser, wobec nowej ordynacji wyborczej, a także braku porozumienia przedwyborczego z rządem, nie było szans na wybór Niemców na kandydatów na posłów. Jednak chociaż wyborcy niemieccy nie mieli na listach wyborczych własnych przedstawicieli, to na wezwanie niemieckich ugrupowań politycznych, a wbrew ogłoszonemu przez polską opozycję bojkotowi wyborów, dość licznie w nich uczestniczyli, głosując na kandydatów prorządowych. Natomiast dwa mandaty senatorskie uzyskali drogą nominacji przez prezydenta RP, który mianował na senatorów przywódców nacjonalistycznego obozu „starych” (Erwin Hasbach) i „młodych” (Rudolf Wiesner), pomijając przedstawicieli niemieckich organizacji antyhitlerowskich, w tym kandydata prorządowego ugrupowania (Niemieckiego Związku Kulturalno-Gospodarczego) zaangażowanego w akcji wyborczej, co wywołało ich krągach rozgoryczenie.

Autor dokładnie prześledził poczynania tej niewielkiej reprezentacji niemieckiej. Wykazał, iż obaj senatorowie na forum parlamentu i w kontaktach z władzami polskimi pozorowali lojalność wobec państwa, demonstracyjnie deklarowali gotowość do współpracy z rządem, ale będąc zwolennikami narodowego socjalizmu, równocześnie umacniali związki z Rzeszą, której władze wywierały coraz większy wpływ na działalność przedstawicieli niemieckiej mniejszości w parlamencie i ich ugrupowania. Podobnie jak poprzednicy przedkładali postulaty dotyczące rozszerzenia swobód ludności niemieckiej i innych mniejszości narodowych, bronili stanu posiadania Niemców, domagali się bezskutecznie koncesji w sprawach prawnych (np. nowego uregulowania statusu Górnego Śląska po wygaśnięciu konwencji genewskiej), gospodarczych, społecznych (problemy bezrobocia i położenia materialnego ludności niemieckiej), w zakresie kultury i oświaty (sprawa szkolnictwa i miejsca języka niemieckiego w życiu publicznym) oraz wyznań (np. kwestia uregulowania stosunków między Kościołami ewangelickimi i państwem, konflikt z wojewodą Michałem Grażyńskim, który prowadził politykę zmierzającą do polonizacji władz i struktur Kościoła ewangelicko-unijnego na Górnym Śląsku). Jednak ich daleko idące żądania nie były przez władze polskie akceptowane. Przemysław Hauser zrelacjonował także działalność senatorów niemieckich na rzecz upowszechniania ideologii narodowosocjalistycznej i ich dążenia do zjednoczenia na tej podstawie mniejszości niemieckiej w Polsce, wskazał na nieskuteczność prób konsolidacyjnych wobec animozji i ostrej rywalizacji między przywódcami obozu „starych” i „młodych”.

Rozdział VI dotyczy działalności przedstawicieli mniejszości niemieckiej w Senacie RP V kadencji. Autor sporo i ciekawie napisał o stosunku Niemców do ostatnich wyborów parlamentarnych, przeanalizował stanowisko ugrupowań politycznych, ukazał trudną sytuację organizacji zwalczających idee narodowosocjalistyczne w środowiskach niemieckich, dominację stojących na gruncie tej ideologii obozów „młodych” i „starych”, walkę konkurencyjną między nimi, zabiegi ich przywódców we władzach polskich o zgodę na wystawienie przedstawicieli do Sejmu. Wyborcy niemieccy jednak poszli do urn, ale podobnie jak w poprzednich wyborach, nie mogli głosować na swoich kandydatów do Sejmu i Senatu. Mandaty senatorskie uzyskali z nominacji prezydenckiej, ponownie przywódca obozu „starych” (Erwin Hasbach), a jako nowy – działacz „młodych” (Maximilian Wambeck), przy czym tenże, jak wyjaśnił Autor, nie odegrał w istocie żadnej roli w działalności izby wyższej parlamentu. Na forum Senatu faktycznie występował więc jedyny reprezentant ludności niemieckiej, ale jego działaniom na jej rzecz nie sprzyjały ani gwałtownie pogarszające się stosunki między Polską a Rzeszą, ani napięcia z powodu nasilających się tendencji irredentystycznych i otwarcie wrogich wystąpień mniejszości niemieckiej wobec państwa polskiego, na które jego władze odpowiadały represjami, a także zaostrzeniem polityki przeciwko tej społeczności w różnych dziedzinach. Senator Erwin Hasbach bezskutecznie usiłował deklarować lojalność i interweniować w obronie ludności niemieckiej, ale po agresji Niemiec na Polskę obaj senatorowie niemieccy zostali internowani przez władze polskie. Warto tu także przypomnieć, iż w tym samym czasie na nadzwyczajnym posiedzeniu Sejmu (2 IX 1939) przywódcy klubów ukraińskiego i żydowskiego w imieniu obu największych grup narodowościowych w państwie polskim złożyli dobitne deklaracje lojalności obywatelskiej wobec Rzeczypospolitej i gotowość do poniesienia ofiar w jej obronie.

Autor w zakończeniu nakreślił syntetyczny obraz działalności reprezentantów mniejszości niemieckiej w parlamencie II Rzeczypospolitej, ich postaw i motywów

działania, dokonał podsumowania swoich rozważań, wyeksponował tezy i wnioski wynikające z wnikliwej analizy badanej problematyki, opartej na różnorodnej bazie źródłowej i świetnej znajomości literatury historycznej, dojrzałym i rzetelnym warsztacie naukowym.

Przemysław Hauser w pełni osiągnął cele, jakie sobie postawił, będąc wielkim znawcą przedmiotu, umiejętnie pomaga czytelnikowi poznać i zrozumieć trudną materię różnych aspektów dziejów mniejszości niemieckiej w II Rzeczypospolitej, stosunków polsko-niemieckich w okresie międzywojennym, ich uwarunkowań międzynarodowych oraz relacji między Polską i Niemcami. Książkę, która ukazuje szereg oryginalnych ustaleń badawczych, bogactwo problemów i faktów, czyta się dobrze, z zainteresowaniem, cechuje ją jasny styl i bogaty język. Wybitne dzieło Przemysława Hausera stanowi trwały wkład do historiografii polskiej.

Paweł Samuś
Łódź

Takuma Melber, *Pearl Harbor. Japans Angriff und der Kriegseintritt der USA*, München 2016, Verlag C.H. Beck, ss. 223

Początek drugiego światowego konfliktu na Pacyfiku wzbudza zainteresowanie historyków i politologów, a także szerokich kręgów miłośników Klio i znawców militariów, również w Polsce¹. Ze zrozumiałych względów największe zaciekawienie japoński atak na Pearl Harbor wywołuje w USA. Niedawna 75. rocznica tego wydarzenia obfitowała w kolejne publikacje poświęcone tej sprawie². Wznawiane są także klasyczne pozycje dotyczące tego wydarzenia, by wspomnieć prace Samuela E. Morisona, które doczekały się przekładu na język polski³. Pojawia się w tym miejscu pytanie: czy wobec mnogości opracowań tematu związanego z atakiem na Pearl Harbor jest miejsce na kolejną monografię poświęconą temu zagadnieniu?

Doktor Takuma Melber, młody historyk z jednego z najstarszych niemieckich uniwersytetów (Heidelberg), przekonuje nas, że tak. Nad wieloma badaczami amerykańskimi oraz europejskimi ma tę przewagę, że wychowany w japońsko-niemieckiej rodzinie zna język Kraju Wschodzącego Słońca, co niewątpliwie poszerza materiał bibliograficzny. Jest to bardzo istotne, albowiem przynajmniej większość publikacji z tej tematyki opracowana została w oparciu o źródła amerykańskie, a kamień węgielny wytyczający tezy badawcze stanowiło przywołane wyżej dzieło S.E. Morisona. Odstępstwa od tej reguły zdarzają się niezwykle rzadko⁴.

¹ Czego dowodem jest drugie, poprawione wydanie monografii Jarosława Jastrzębskiego poświęconej temu tematowi: J. Jastrzębski, *Pearl Harbor 1941*, Warszawa 2016. Tematyka ta budzi zainteresowanie wśród historyków krajów śródlądowych, by wspomnieć np. Czechy czy Słowację. Por. I. Brož, *Pearl Harbor*, Praha 2011. Praca ta ukazała się równolegle w językach czeskim i słowackim.

² Zob. np.: C. Nelson, *Pearl Harbor. From Infamy to Greatness*, London–New York 2016.

³ S.E. Morison, *Wschodzące słońce na Pacyfiku. 1931 – kwiecień 1942*, Gdańsk 2014.

⁴ Przykładem może być monografia Sadao Asady, japońskiego historyka, poświęcona stosunkowi elit Cesarskiej Marynarki Japońskiej do USA: S. Asada, *From Mahan to Pearl Harbor. The Imperial Japanese Navy and the United States*, Annapolis 2006. W Polsce

Autor podzielił pracę na cztery części: prehistoria (s. 11–89), japońskie przygotowania do ataku (s. 90–127), przebieg nalotu i działania towarzyszące (s. 128–196), wreszcie konsekwencje tego wydarzenia (s. 197–202). Monografię otwiera nieco zbeletryzowany reportaż z pokładu lotniskowca „Kaga” w momencie startu samolotów do ataku na amerykańską bazę. Zamyka ją wierna relacja powstała w oparciu o wspomnienia kmdr. Mitsuo Fuchidy z pokładu USS „Missouri”, gdzie 2 IX 1945 r. delegacja japońska podpisała akt kapitulacji.

Można zastanawiać się, czy Takuma Melber nie zachwiał nieco proporcji swej monografii, decydując się na znacznie krótszą w stosunku do pozostałych rozdziałów ostatnią część pracy. Jak się jednak wydaje, logika narracji uzasadnia taki właśnie wybór.

Część I pracy poświęcona jest wysiłkom dyplomatycznym (postrzeganym przede wszystkim przez pryzmat działań japońskich) mającym na celu deeskalację napięcia dyplomatycznego narastającego między Tokio a Waszyngtonem od przełomu lat 1940/1941. Szkoda, że autor nieco szerzej nie nakreślił tła konfliktu między Japonią a USA. W tym kontekście wypadało wspomnieć o odwróceniu sojuszy na Pacyfiku, gdy po I wojnie światowej Wielka Brytania zarzuciła dotychczasową współpracę z imperium japońskim na rzecz coraz bliższych związków transatlantycznych. Nie mogło to nie mieć wpływu na japońskie elity polityczne i militarne obawiające się okrażenia własnego kraju przez wrogie mocarstwa anglosaskie, które – czego dowodem był traktat waszyngtoński z 1922 r. o redukcji zbrojeń morskich – nie uważały Japonii za równego sobie partnera. Wywoływało to w Tokio frustrację, pogłębiając nastroje ksenofobiczne i militarystyczne⁵.

Nie sposób nie zgodzić się z autorem, że obok obiektywnych, powszechnie znanych przesłanek narastania konfliktu amerykańsko-japońskiego, nie bez znaczenia były zmiany na szczycie władzy w Waszyngtonie na początku dekady lat trzydziestych minionego stulecia. O ile bowiem poprzednik Franklina Delano Roosevelta – prezydent Herbert Hoover starał się dość wstrzemięźliwie reagować na narastającą agresję japońską na Dalekim Wschodzie (wobec Chin), o tyle jego następca prowadził bardziej stanowczą politykę na tym odcinku. Miał świadomość, że społeczeństwo amerykańskie byłoby bardzo niechętnie opuszczeniu izolacjonistycznych pozycji przez Waszyngton. Prezydent Roosevelt dobrze wiedział, że jego rodacy nie zgodzą się na przystąpienie Stanów Zjednoczonych do europejskiego konfliktu rozpoczętego agresją hitlerowskich Niemiec na Polskę we wrześniu 1939 r., chyba że... to USA zostaną zaatakowane.

W III Rzeszy widział największe zagrożenie dla żywotnych interesów amerykańskich, dlatego był gotów u progu lat czterdziestych XX stulecia na pojednawcze gesty wobec Tokio, w przeciwieństwie do ówczesnego sekretarza stanu Cordella Hulla stojącego na stanowisku, że kompromis z Tokio nie może mieć miejsca kosztem Chin (s. 20). Jednocześnie Roosevelt podejmował decyzje, które w Tokio odbierane były jako rodzaj militarnej presji. Chodzi o dyslokację głównych sił Floty Pacyfiku USA w hawajskiej bazie Pearl Harbor. Liczba jednostek USA tam stacjonujących od początku 1940 r. systematycznie rosła i trudno traktować to posunięcie inaczej niż

oprócz wspomnień kmdr. Fuchidy (M. Fuchida, M. Okumiya, *Midway. Historia Japońskiej Marynarki Wojennej*, tłum. A. Saczek, Gdańsk 1996), jedyną pracą źródłową przetłumaczoną z japońskiego jest biografia adm. Yamamoto: H. Agawa, *Yamamoto*, Gdańsk 2005.

⁵ Por. A.J. Marder, *Old Friends, New Enemies. The Royal Navy and the Imperial Japanese Navy*, vol. I: *Strategic Illusions 1936–1941*, Oxford 1981, s. 10 i n.

w kategoriach demonstracji siły i nacisku (s. 21). Autor wspomina dymisję dowódcy Floty Pacyfiku adm. Jamesa O. Richardsona, odwołanego przez Roosevelta w październiku 1940 r. (s. 23). Warto byłoby ten wątek rozbudować. Admirał sprzeciwiał się stacjonowaniu większości zespołu tworzącego Flotę Pacyfiku w Pearl Harbor, nie tylko ze względu na pewne niedostatki logistyczne hawajskiej bazy. Wedle jego opinii w Oahu US Navy była zbyt eksponowana i narażona bezpośrednio na lotniczy atak japoński, co zresztą udowodniły gry sztabowe Amerykanów, a nawet symulacje takiego uderzenia podczas manewrów na morzu.

Po latach adm. Richardson powtarzał: „Jestem przekonany, że okrętów *US Navy* nie byłoby w Pearl Harbor 7 grudnia 1941 roku, gdybym był szefem operacji morskich w tym czasie”⁶. Jednak prezydent Roosevelt trwał w przekonaniu, że obecność trzonu sił Floty Pacyfiku ma walory odstrasżające Japończyków przed kontynuacją agresywnej polityki w tym rejonie. I dlatego, niezależnie od innych jego zasług podnoszonych przez amerykańską historiografię, ponosił polityczną odpowiedzialność za wystawienie Floty Pacyfiku na duże, a w końcowym efekcie – bezproduktywne ryzyko.

Takuma Melber zwraca uwagę, że strona japońska starała się ruszyć z martwego punktu rokowania z Waszyngtonem również poprzez zmiany personalne. Nowy ambasador cesarski w Waszyngtonie, emerytowany adm. Kichisaburō Nomura, uchodzący za proamerykańskiego dyplomata, miał wnieść nowy klimat do prowadzonych rokowań (s. 23–29). Można zgodzić się z sugestią autora, że do lata 1941 r., jakkolwiek wielkiego postępu w rokowaniach nie było, nie zaszło nic takiego, co skazywałoby je na ostateczne fiasko.

Sytuacja zmieniła się latem 1941 r. Niemiecka agresja na Związek Radziecki rozpoczęta 22 VI 1941 r. i początkowe błyskotliwe sukcesy Wehrmachtu zelektryzowały japońskich polityków i wojskowych. Jednak ambasador Kichisaburō Nomura zachował trzeźwy osąd sytuacji, przestrzegając przed jakimikolwiek formami nacisku na ZSRR, uważając, że mogłoby to utrudnić mu prowadzenie rokowań w Waszyngtonie (s. 30 i n.). Wkroczenie japońskiej armii do francuskich Indochin w lipcu 1941 r. drastycznie zmieniło atmosferę rokowań między Tokio a Waszyngtonem. Amerykańskie służby wywiadowcze znały japońskie szyfry dyplomatyczne, a tym samym amerykański sekretarz stanu doskonale wiedział, w jak ультимatywnym tonie przekazano żądania japońskie francuskiemu rządowi Vichy. Ambasador Kichisaburō Nomura znalazł się w arcytrudnej sytuacji, gdyż strona amerykańska do swych wcześniejszych postulatów dołączyła jeszcze jeden – wycofanie japońskich oddziałów z francuskich posiadłości w Indochinach. W dodatku postulat ten był stawiany w ультимatywnym zgoła tonie. Japoński dyplomata zwracał swym amerykańskim rozmówcom uwagę na fakt, że bezwarunkowe wycofanie się Japończyków z Indochin oznaczałoby dla nich całkowitą utratę twarzy (s. 37), imponderabilia bardzo istotne dla narodów dalekowschodnich. Bezskutecznie. Amerykanie nie wykazali empatii,

⁶ S. Steely, *Pearl Harbor Countdown. Admiral James O. Richardson*, Gretna 2008, s. 419. O niebezpieczeństwach stacjonowania US Navy na Hawajach Richardson napisał w oficjalnym raporcie złożonym na ręce szefa operacji morskich adm. Harolda R. Starka 9 V 1940 r. Zob. C. Nelson, op. cit., s. 10. Co więcej, w rozmowie z Rooseveltem 8 X 1940 r. admirał stwierdził: „Panie prezydencie, wyżsi oficerowie marynarki wojennej nie mają zaufania do zapewnień cywilnych przywódców naszego kraju, którzy przekonują nas, że to posunięcie (dyslokacja floty do Pearl Harbor) zagwarantuje sukces operacji wojskowych na Pacyfiku”. J.O. Richardson, *On Treadmill to Pearl Harbor*, Washington 1973, s. 435.

co więcej, zdołali przekonać brytyjskiego premiera i holenderski rząd emigracyjny do wprowadzenia całkowitego embarga na handel z Japonią z dniem 1 VIII 1941 r. Nie dość na tym, prezydent Roosevelt rozważał nawet przeprowadzenie punktowych nalotów na wybrane japońskie ośrodki przemysłowe (s. 39–40). Dzień wcześniej podczas nalotu na Chongqing w Chinach lotnictwo japońskie zbombardowało amerykańską kanonierkę USS „Tutuila”, co jeszcze bardziej skomplikowało wzajemne relacje. Wprowadzone sankcje były dla Japonii niezwykle groźne. W perspektywie roku, najwyżej dwu lat, ekonomice cesarstwa groziło całkowite załamanie. Okrety, samoloty czy czołgi cesarskich sił zbrojnych pozbawione paliwa byłyby tylko kupą złomu, niczym więcej.

Można całkowicie zgodzić się z autorem, że po 1 VIII 1941 r. stosunki między Tokio a Waszyngtonem znalazły się na równi pochyłej. Amerykanie świadomi, jak dalece embargo szkodzi Japonii, nie myśleli rezygnować ze swych twardych postulatów. Ich przyjęcie oznaczałoby dla Japonii kapitulację bez walki. A to dla narodu samurajów było nie do pomyślenia. Jednak autor recenzowanej pracy wzbrania się od pochopnej oceny, wedle której od tego momentu Japończycy (zwłaszcza generalicja cesarska) obrali kurs na konfrontację zbrojną, a prowadzone rokowania miały tylko dać japońskim siłom zbrojnym czas na przygotowanie błyskawicznego uderzenia⁷. Melber jest daleki od takiego upraszczania sprawy. Na kolejnych stronach swej monografii dowodzi, że latem i wczesną jesienią 1941 r. działania na rzecz przezwyciężenia impasu w amerykańsko-japońskich relacjach podejmowali niektórzy członkowie cesarskiego dworu, dyplomaci czy oficerowie flagowi marynarki (s. 59 i n.). Nie przyniosły one rezultatu, a nominacja gen. Tōjō Hideki na stanowisko premiera 18 X 1941 r. oznaczała tryumf zwolenników wojny z USA. Szkoda, że w tym fragmencie pracy autor nie pokusił się o próbę odpowiedzi na pytanie, dlaczego cesarz Hirohito, jedyny człowiek, który mógł jeszcze zmienić bieg wydarzeń (tak jak zrobił to niemal 4 lata później, wymuszając zgodę na kapitulację Japonii), w tym wypadku zachował się biernie. Posiadał przy tym świadomość, że w konflikcie z USA szanse Japonii są bardzo ograniczone⁸. Zdanie autora (s. 65), że cesarz miał do Tōjō Hideki pełne zaufanie, co więcej, uważał, że będzie on w stanie działać tonizująco na innych wojskowych, chyba nie do końca odpowiada prawdzie. W każdym razie, jak wiadomo, takie nadzieje należy uznać za nietrafione.

Wojskowa elita Japonii, sprawująca rzeczywistą władzę w Tokio, zdecydowana była zareagować zbrojnie. 29 XI 1941 r. japoński premier przemawiając w stolicy cesarstwa, oskarżył USA i Wielką Brytanię o mieszanie się w japońską politykę budowy „strefy dobrobytu” we wschodniej Azji (s. 84). To wystąpienie japońskiego szefa rządu oznaczało *de facto* przyznanie, że rokowania prowadzone od kilku miesięcy w Waszyngtonie nie przyniosły rezultatu. Zdaniem Takumy Melbera cena ustępstw, które mogłyby znormalizować relacje między Tokio a mocarstwami anglosaskimi, była dla japońskich elit zbyt wysoka. Można się zgodzić z autorem w tym względzie.

⁷ Taki pogląd przeważał w narracji Morisona: idem, op. cit., s. 95 i n. Podobną opinię wyraził inny amerykański autor, George Victor uznając, że politycy japońscy chcący po 1 VIII 1941 uniknąć konfrontacji militarnej z USA należeli do znikomej mniejszości. G. Victor, *The Pearl Harbor Myth. Rethinking the Unthinkable*, Washington DC 2007, s. 223–225. Nie ukrywał jednocześnie faktu, że polityka Roosevelta nastawiona była na sprowokowanie Japończyków do aktu agresji. Ibidem, s. 122–124.

⁸ S. Asada, op. cit., s. 262–264.

Wycofanie się z ekspansjonistycznej polityki oznaczałoby tak dla polityków, jak i wojskowych Nipponu jedno – utratę twarzy. Mieli do wyboru upokorzenie lub wojnę. Postawili wszystko na jedną kartę. Jak dowiodła historia, fałszywa, należy jednak podkreślić, że zręczna polityka Roosevelta wepchnęła ich w ślepią uliczkę. Ustępując Anglosasom, sprowadziliby Japonię do roli wasala Waszyngtonu i Londynu, a sami stanęliby w obliczu znalezienia honorowego wyjścia dla siebie. Było nim rytualne samobójstwo – *harakiri*.

Część II monografii poświęcona została planowaniu japońskiego ataku na bazę US Navy w Pearl Harbor, określanego mianem „operacji hawajskiej”. Szkoda, że autor nie wspomina, do jakiej idei nawiązywał ten plan. Chodzi o tzw. decydującą bitwę, która na podobieństwo cuszimskiej wiktorii miała zostać rozegrana u japońskich brzegów i pogrzyźć amerykańską flotę. Myśl o powtórce z historii zdominowała doktrynę wojenną cesarskiej marynarki doby lat trzydziestych minionego stulecia⁹. Jednak czasy się zmieniły, a ponadto Japończycy zdobywszy pewne informacje o amerykańskich planach wojny z ich krajem, zrozumieli, że sztab US Army i US Navy zaplanował długotrwałą kampanię określaną jako strategia „żabich skoków”. Decydująca bitwa odwlekałaby się w czasie i zanim by do niej doszło, gospodarka japońska uzależniona od dostaw surowców drogą morską mogłaby tego nie wytrzymać. Dlatego też legendarny dowódca japońskiej Połączonej Floty stanowiącej trzon cesarskiej marynarki, adm. Yamamoto Isoroku zdecydował się na przyjęcie ryzykownego planu zakładającego stoczenie owej decydującej bitwy w bazie przeciwnika. Kreśląc sylwetkę admirała (s. 92 i n.), autor korzystał z najnowszej literatury japońskiej, w tym także z biograficzno-wspomnieniowego opracowania synów dowódcy floty.

Nakreślony piórem Melbera portret Yamamoto Isoroku w dużej mierze pokrywa się z wcześniejszymi biografiami na jego temat. Autor przedstawia admirała jako anglofila, zdecydowanego przeciwnika wojny Japonii z USA, gdyż znając potencjał ekonomiczny Stanów Zjednoczonych, nie miał złudzeń co do szans swego kraju w takiej konfrontacji¹⁰. W przeciwieństwie do wielu oficerów flagowych w szeregach własnej floty i w obcych marynarkach wojennych był zdania, że era pancerników dobiegła końca. Do historii przeszła uwaga Yamamoto Isoroku, że „w przyszłej wojnie przydadzą się tak jak samurajskie miecze”, i forsował rozwój lotnictwa morskiego. Początek drugiego światowego konfliktu na europejskich wodach – nalot brytyjskich samolotów z lotniskowca „Illustrious” na Tarent 11/12 XI 1940 r., akcja przeciw pancernikowi „Bismarck” na Atlantyku w maju 1941 r. tylko upewniły go w słuszności poglądów tej materii dotyczących (s. 95). Sukces brytyjski w Tarencie przesądził o wyborze zmasowanego ataku startujących z lotniskowców samolotów jako sposobu mającego zniszczyć u progu wojny większość amerykańskiej Floty Pacyfiku. Wśród oficerów floty współtworzących plan „operacji hawajskiej” autor wyróżnia komandorów Fuchidę Mitsuo i Gendę Minoru. Czytelnik europejski dowiadyuje się, że oficer, który prowadził samoloty do ataku na Pearl Harbor (Fuchida), był wtedy admiratorem wodza III Rzeszy (s. 108). Co do kmdr. Gendy Melber mógł dorzucić istotny szczegół z jego powojennej biografii. Otóż oficer ten wstąpił w szeregi lotniczego segmentu

⁹ M. Stille, *The Imperial Japanese Navy in The Pacific War*, Oxford 2014, s. 11–22.

¹⁰ Por. E.P. Hoyt, *Yamamoto. The Man Who Planned Pearl Harbor*, New York 1990 oraz opublikowaną wcześniej słynną biografię: J.D. Potter, *Yamamoto. The Man Who Menaced America*, New York 1965.

Japońskich Sił Samoobrony w 1954 r. i dosłużył się u progu lat sześćdziesiątych minionego stulecia rangi generalskiej jako szef sztabu tej formacji. Odchodząc na emeryturę, odznaczony został... wysokiej rangi orderem amerykańskim – Legią Zasługi¹¹.

Obydwaj oficerowie, podobnie jak współpracujący z nimi adm. Ōnishi Takijirō, mieli bardzo duży udział w planowaniu działań przeciw Flocie Pacyfiku, ale decydujący głos, co zauważa autor, należał do adm. Yamamoto Isoroku (s. 93–109). Odrzucał on wszelkie sugestie zmierzające do ograniczenia liczby okrętów i samolotów mających uczestniczyć w tym przedsięwzięciu. Zdawał sobie sprawę, że cesarska marynarka drugiej szansy nie otrzyma i należy zrobić wszystko, by uderzenie przeciw Hawajom zakończyło się pełnym sukcesem. Miał świadomość, że od rozmiaru japońskiego sukcesu zależy nie tylko powodzenie w tym konflikcie, ale cała przyszłość Japonii jako mocarstwa. Gdyby to było możliwe – jak słusznie zauważa Melber – najchętniej poprowadziłby osobiście lotniskowce japońskie zgromadzone w Zespole Manewrowym (jap. *Kidō Butai*) do ataku na amerykańską bazę (s. 96).

Opis walorów bojowych okrętów japońskich przedstawiony przez autora w tej części pracy nie budzi zasadniczo moich zastrzeżeń krytycznych. Mógł tylko dodać, że ciężkie krążowniki bliźniaczej pary – „Tone” oraz „Chikuma” budowane były z myślą o współdziałaniu z zespołem lotniskowców. W tym samym celu poddano też przebudowie krążowniki liniowe typu „Kongo” (s. 128).

Takuma Melber przywołuje postać japońskiego porucznika marynarki Yoshikawę Takeo, który jako Morimura Tadashi był pracownikiem japońskiego konsulatu w Honolulu. Dzięki jego informacjom adm. Yamamoto Isoroku otrzymywał strumień bezcennych informacji o liczbie okrętów stacjonowanych na Hawajach, a także o miejscu ich postoju w hawajskiej bazie. Autor wspomina o mało znanym fakcie z jego kariery. Podczas swej podróży do USA *via* Wielka Brytania wczesną wiosną 1941 r. przekazał Niemcom informacje o konwojach eskortowanych przez Royal Navy na środkowym Atlantyku w pobliżu Afryki. Otrzymał za to osobiste podziękowania od Adolfa Hitlera (s. 115 i n.). Jednak jego konto obciąża jeden istotny problem – nie udało mu się ustalić, wedle jakich reguł odbywają się wyjście w morze i ćwiczenia amerykańskich lotniskowców. Brak tych informacji miał brzemiennie skutki – jak się wydaje – dla całego późniejszego przebiegu wojny na Pacyfiku.

Cześć III monografii opisuje dokładnie sam atak sił japońskich na amerykańską bazę. Stosunkowo dużo miejsca autor poświęca epizodowi związanemu z użyciem miniaturowanych okrętów podwodnych (czyni to jeszcze pod koniec poprzedniej części, s. 122–127). Zdaniem Melbera w jednostkach tych dowództwo japońskie pokładało wielkie – jak się okazało płonne – nadzieje. Co więcej, gdyby amerykańscy oficerowie dyżurni wyższych szczebli potrafili wyciągnąć stosowne wnioski, choćby z meldunków nadesłanych przez niszczyciel USS „Ward”, to przebieg wydarzeń mógłby ulec zdecydowanej zmianie¹².

Autor rozpoczyna narrację ataku lotniczego od meldunku z wodnosamolotu krążownika „Chikuma” wysłanego na zwiady przed pierwszą falą ataku: „Nie ma żadnych okrętów na kotwiczowisku Lahaina” (s. 130). W zasadzie w tym momencie można by się pokusić o postawienie pytania: czy był to tylko czysty przypadek, że

¹¹ „New York Times”, 30 III 2016.

¹² R.B. Stinnett, *Day of Deceit. The Truth About FDR and Pearl Harbor*, New York 2000, s. 264 i n.

po raz pierwszy od kilku miesięcy podczas weekendu w Pearl Harbor nie znajdował się ani jeden lotniskowiec¹³.

Narracja dotycząca samego ataku zasadniczo nie odbiega od innych opracowań tematu. Autorowi zdarzają się drobne nieścisłości, np. określenie amerykańskiego myśliwca P-40B mianem „Tomahawk” (tak nazywano podstawową wersję tego samolotu), podczas gdy w rzeczywistości chodziło o „Warhawk” (s. 133). Kontradmiral William R. Furlong, w momencie ataku starszy na redzie, był wtedy dowódcą sił minowych Pacyfiku, a nie szefem stoczni marynarki w Pearl Harbor, którym został dopiero po wybuchu wojny z Japonią (s. 139)¹⁴.

Autor zwraca uwagę na istotny szczegół, a mianowicie na fakt, że samoloty II fali ataku, startujące z dwu najnowszych japońskich lotniskowców – „Zuikaku” i „Shokaku”, zwłaszcza piloci bombowców nurkujących, uzyskali znacznie mniej trafień niż ich koledzy z pozostałych lotniskowców. Przypisuje ten fakt niższej jakości szkolenia lotników 5 Flotyli Lotniczej dowodzonej przez adm. Harę Chūichi, sformowanej dopiero pod koniec lata 1941 r. (s. 159). Natomiast miał miejsce jeden – w mojej ocenie istotny – epizod, o którym autor nie wspomina. Usprawiedliwia go jedno: jest on pomijany – nie wiadomo dlaczego – także w innych monografiach poświęconych atakowi na Pearl Harbor. Chodzi o akcję amerykańskich myśliwców P-40 „Warhawk” z polowego lotniska Hale’iwa. Dwaj młodzi lotnicy – porucznicy Kenneth M. Taylor oraz George S. Welch zaalarmowali obsługę naziemną tego lotniska i nim dotarli na miejsce prywatnym samochodem, mechanicy rozgrzali dwa myśliwce. Jakkolwiek nie były one w pełni załadowane amunicją, obaj piloci wystartowali i po chwili nawiązali kontakt bojowy z formacją kilku bombowców nurkujących „Val” (Aichi D3A) i zestrzelili dwa nieprzyjacielskie samoloty. Następnie wylądowali, aby uzupełnić amunicję i ponownie ruszyli do akcji, tym razem napotykając zespół 12 „Zero” (Mitsubishi A6M). Pomimo przynajmniej przewagi amerykańscy lotnicy odnieśli spory sukces, zestrzelując 2 japońskie myśliwce, a kontynuując walkę, udało im się posłać na ziemię jeszcze co najmniej 2 kolejne samoloty „Kidō Butai”¹⁵.

Wynikają z tego dwa wnioski. Po pierwsze: jakie byłyby japońskie straty, gdyby zawczasu rozlokowano na lotniskach polowych co najmniej kilkadziesiąt innych myśliwców? Po drugie: rezultat starcia 12 japońskich myśliwców „Zero” z 2 zaledwie „Warhawkami” jest wysoce zastanawiający, nawet jeżeli japońskie myśliwce pilotowali mniej doświadczeni lotnicy z 5 Flotyli Lotniczej. Trudno dziś ustalić, czy ten epizod został zawarty w japońskich raportach pisanych po ataku na Pearl Harbor. Bo fakt ten powinien dać japońskim sztabowcom wiele do myślenia. Lekki, zwrotny, lecz nieopancerzony i słabiej uzbrojony myśliwiec japoński w starciu z najnowszymi samolotami amerykańskimi (lądowymi) nie miał wielkich szans.

Gdy idzie o konsekwencje ataku na Pearl Harbor (s. 166–197), autor zwraca uwagę na trzy aspekty – niedosyt po stronie niektórych japońskich dowódców, los

¹³ Sprawa ta do dziś nie została w pełni wyjaśniona. Część dokumentów związana z 7 XII 1941 r. nadal nie jest dostępna. Według niektórych amerykańskich autorów (ibidem, s. 280 i n.) trudno doprawdy uwierzyć w przypadek, że dokładnie w momencie japońskiego ataku w bazie zabrakło najcenniejszych jednostek. Wedle innych ocen – podzielanych także przez polskiego historyka – absencja ta była dziełem przypadku. Zob. J. Jastrzębski, op. cit., s. 197 i n.

¹⁴ S.E. Morison, op. cit., s. 131.

¹⁵ R. Elsberg, „*First to Fight*” (at Pearl Harbor), „Airman” 1988, no. 12, s. 57–59.

ludności mającej japońskie korzenie w USA po 7 XII 1941 r., wreszcie teorii spiskowe dotyczące tego wydarzenia.

Nie ulega wątpliwości, że brak lotniskowców US Navy w hawajskiej bazie mocno zaskoczył japońskich sztabowców, zdeprymował również adm. Nagumo, który po dwu falach nalotu postanowił się wycofać, choć – a sugerowali mu to jego oficerowie sztabowi oraz kmdr Fuchida – powinien był zdecydować się na kolejny nalot, aby zniszczyć infrastrukturę Pearl Harbor i zapasy paliwa. Takuma Melber usprawiedliwia japońskiego dowódcę chęcią uniknięcia strat, bowiem – jak pisze – Nagumo miał otrzymać instrukcje takiego działania, które nie wystawiałyby na ryzyko własnych lotniskowców (s. 170–173). Muszę przyznać, że nigdzie nie spotkałem się z taką sugestią ze strony sztabu Połączonej Floty. Można wyrazić przekonanie, że dla adm. Yamamoto Isoroku utrata jednego czy nawet dwu lotniskowców byłaby do zaakceptowania, jeżeli na dnie spoczęłyby wszystkie okręty tej klasy, jakie posiadała amerykańska Flota Pacyfiku. Co więcej, dla Yamamoto Isoroku chęć zniszczenia amerykańskich lotniskowców stała się w następnych miesiącach obsesją, która – jak się wydaje – doprowadziła do popełnienia błędów przy planowaniu kampanii pod Midway¹⁶.

Los obywateli amerykańskich pochodzenia japońskiego, internowanych po wybuchu wojny na Pacyfiku, może oczywiście budzić współczucie, ale ma się nijak do zbrodni japońskich popełnionych na jeńcach wojennych i ludności cywilnej, poczynając od agresji w Chinach, a na bezwarunkowej kapitulacji cesarstwa w 1945 r. kończąc.

Co do teorii spiskowych – autor sam zauważa, że klucz do późniejszych sukcesów amerykańskich stanowiło złamanie japońskich szyfrów (s. 195). Problem w tym, że dla strony amerykańskiej depeche japońskie, zarówno wojskowe, jak i dyplomatyczne, nie były żadną tajemnicą na wiele miesięcy przed Pearl Harbor. Niestety adm. Kimmel i gen. Walter C. Short otrzymywali tylko część materiałów od służb wywiadowczych. To, że nie mieli wszystkich informacji – ujmując rzecz ogólnie – nie ulega wątpliwości¹⁷. Powstaje pytanie, czy było to tylko zaniedbanie, czy celowa działalność administracji prezydenta Roosevelta, obliczona na wciągnięcie USA do światowego konfliktu. Do dziś nie ujawniono wszystkich dokumentów dotyczących ataku japońskiego z 7 XII 1941 r. Fakt ten – co zrozumiałe – musi rodzić rozmaite spekulacje.

Reasumując, czytelnik z fachowym przygotowaniem spogląda na recenzowaną monografię krytycznie, ale jednocześnie z dużą życzliwością. Melber przedstawia dzieło, które czyta się jednym tchem. Jak dobrą powieść sensacyjną. Co więcej – jestem przekonany, że czytelnik, który dopiero zapoznaje się z zagadnieniem, po lekturze tej książki z pewnością będzie chciał pogłębić swą wiedzę na ten temat. Na koniec wypada wyrazić nadzieję, że niemiecki autor wzbogaci naszą wiedzę dotyczącą działań wojennych na Pacyfiku o kolejne opracowanie, np. odnoszące się do bitwy o Midway. Ma ku temu solidne podstawy.

Roman Kochnowski
Kraków

¹⁶ Por. D.W. Isom, *Midway Inquest. Why the Japanese Lost the Battle of Midway*, Bloomington 2007, s. 66–67; J. Parshall, A. Tully, *Shattered Sword. The Untold Story of the Battle of Midway*, Washington 2005, s. 24 i n.

¹⁷ R.B. Stinnett, op. cit., s. 277 i n.

Maximilian Becker, *Mitstreiter im Volkstumskampf. Deutsche Justiz in den eingegliederten Ostgebieten 1939–1945* [*Sojusznicy w walce narodowościowej. Niemiecki wymiar sprawiedliwości na ziemiach wschodnich wcielonych do Rzeszy 1939–1945*], München 2014 (Quellen und Darstellungen zur Zeitgeschichte, 101), De Gruyter Oldenbourg, ss. 352

Polityka okupacyjna III Rzeszy na terenie Polski w latach 1939–1945 doczekała się po 1945 r. niezwykle bogatej literatury przedmiotu proveniencji polskiej, która koncentrowała się przede wszystkim na zbrodniach okupanta niemieckiego i martyrologii społeczeństwa w okresie wojny. Należy jednak zauważyć, że również niemieccy historycy, zwłaszcza po 1990 r., aktywnie włączyli się do debaty na ten temat. Wpisuje się to zresztą w ogólną tendencję w najnowszej historiografii niemieckiej, której reprezentanci przenieśli swe zainteresowania z momentu dojścia narodowych socjalistów do władzy, ustrojowej specyfiki ich rządów i genezy II wojny światowej na zbrodnie nazistowskie w okupowanej Europie Środkowo-Wschodniej, przede wszystkim na Holokaust. Historycy RFN analizują ziemie polskie, w tym obszary anektowane do III Rzeszy¹, głównie pod kątem „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej” (*Endlösung der Judenfrage*), tzn. antecedencji oraz przebiegu tego przemysłowego mordu na tle hitlerowskiego programu rasowo-demograficznego (*Generalplan Ost*)². W kontekście tych trendów badawczych z tym większym zadowoleniem należy powitać książkę niemieckiego historyka młodego pokolenia Maximiliana Beckera (ur. 1980), która odbiega od dominującego paradygmatu Zagłady i stanowi próbę całościowego ujęcia kwestii aktywności niemieckiego wymiaru sprawiedliwości na polskich ziemiach wcielonych do III Rzeszy, który nie doczekał się wcześniej opracowania w historiografii niemieckiej. Monografia ta jest rozszerzoną wersją jego dysertacji doktorskiej, którą napisał na Wydziale Nauk Historycznych i Nauk o Sztuce na Uniwersytecie

¹ Pod pojęciem „ziemie wschodnie wcielone do Rzeszy” (*eingegliederte Ostgebiete*) rozumiem okęgi Rzeszy Kraj Warty i Gdańsk – Prusy Zachodnie oraz dwie rejencje: katowicką (włączoną do prowincji Górny Śląsk) i ciechanowską, podporządkowaną okregowi Rzeszy Prusy Wschodnie. Obszary te zostały zaanektowane na mocy dwóch dekrétów Adolfa Hitlera z 8 i 12 X 1939 r.

² Zob. m.in.: U. Mai, *Rasse Und Raum. Agrarpolitik, Sozial- und Raumplanung im NS-Staat*, Paderborn 2002; *Der „Generalplan Ost”. Hauptlinien der nationalsozialistischen Planungs- und Vernichtungspolitik*, Hrsg. M. Rössler, S. Schleiermacher, Berlin 1993; W. Pyta, „Menschenökonomie”. *Das Ineingreifen von ländlicher Sozialraumgestaltung und rassenbiologischer Bevölkerungspolitik im NS-Staat*, „Historische Zeitschrift” 2001, Bd. CCLXXIII, s. 3–94; M. Alberti, *Die Verfolgung und Vernichtung der Juden im Reichsgau Wartheland 1939–1945*, Wiesbaden 2006; P. Longerich, *Politik der Vernichtung. Eine Gesamtdarstellung der nationalsozialistischen Judenverfolgung*, München 1998, s. 243 i n.; K.H. Roth, *Erster „Generalplan Ost” (April/May 1940) von Konrad Meyer*, „Mitteilungen der Dokumentationsstelle zur NS-Sozialpolitik” 1985, H. 1, s. 45–88; *Wissenschaft – Planung – Vertreibung. Neuordnungskonzepte und Umsiedlungspolitik im 20. Jahrhundert*, Hrsg. I. Heinemann, P. Wagner, Stuttgart 2006; *Nauka, planowanie, wypędzenia. Generalny Plan Wschodni narodowych socjalistów*, red. D. Hüsken, tłum. P. Pieńkowska-Wiederkehr, katalog wystawy Niemieckiej Wspólnoty Badawczej, Bonn–Berlin 2006; M. Rössler, *Wissenschaft und Lebensraum. Geographische Ostforschung im Nationalsozialismus*, Berlin 1990; W. Wichert, „Poligon doświadczalny narodowego socjalizmu”. *Kraj Warty w latach 1939–1945 w świetle najnowszej historiografii Republiki Federalnej Niemiec*, w: *Polska pod okupacją 1939–1945*, red. M. Gałęzowski i in., t. I, Warszawa 2015, s. 436–437.

Ludwika Maksymiliana w Monachium pod opieką uznanego badacza narodowego socjalizmu Dietera Pohla w latach 2011–2012. Niniejsze dzieło wydane pod auspicjami Instytutu Historii Współczesnej w Monachium zostało wyróżnione prestiżową Nagrodą im. Richarda Schmida w 2014 r. za wybitne osiągnięcia autora na niwie historii współczesnej w dziedzinie prawa. Podczas badań nad pracą doktorską Becker korzystał m.in. ze wsparcia stypendialnego Kolegium Badawczego Maxa Plancka we Frankfurcie nad Menem oraz Niemieckiego Instytutu Historycznego w Warszawie.

Książka ta składa się z przedmowy, wstępu, dziesięciu rozdziałów, zakończenia oraz wykazu źródeł. Celem pracy Beckera jest próba nakreślenia kompletnego obrazu funkcjonowania niemieckich sądów na polskich terenach inkorporowanych do Rzeszy, które według niego jako część aparatu okupacyjnego stanowiły bardzo ważny element polityki germanizacji i dyskryminacji rasowej „narodowo obcych”³. Zgodnie z tą linią przewodnią skonstruowane zostały poszczególne rozdziały, które koncentrują się na polityce okupacyjnej reżimu, organizacji aparatu wymiaru sprawiedliwości, obsadzie personalnej sądownictwa oraz na przeglądzie praktyki orzeczniczej i egzekucji kar. Autor opisał również proces ewakuacji więźniów i personelu nazistowskich sądów w końcowym okresie wojny, a także dokonał analizy karier niektórych tamtejszych zbrodniarzy w togach po 1945 r. Ponadto starał się on porównać rolę wymiaru sprawiedliwości na ziemiach polskich znajdujących się pod okupacją niemiecką oraz sowiecką w latach 1939–1941. Pomimo że Becker już w rozdziale I pracy zaznaczył, iż wobec ludobójstwa Polaków i Żydów sądownictwo pozostawało „przede wszystkim widzem” (s. 23), to w toku swojego wywodu przekonująco dowiódł, że podobnie jak w starej Rzeszy, również na ziemiach wcielonych odgrywało ono niezwykle ważną rolę w legitymizacji władzy narodowosocjalistycznej i stanowiło podporę jej funkcjonowania. Mimo że pod względem formalnym sądy były niezależną instancją aparatu okupacyjnego, tamtejsi gauleiterowie i namiestnicy niejednokrotnie ingerowali w sprawy wymiaru sprawiedliwości swoich okręgów, m.in. wpływając na wybór spolegliwych narodowych socjalistów na stanowiska prokuratorów i sędziów. Prawo Rzeszy nie obowiązywało na terenach wcielonych w automatyczny sposób, lecz było stopniowo wprowadzane w życie. Becker wskazał, że „Te szczególne położenie prawne sprzyjało masowym zbrodniom i wypędzeniom. Sytuacja prawna była częściowo zagmatwana, gdyż również polskie prawo *per se* nie zostało uchylone. W niektórych ciałach okręgowych namiestnicy i nadprezydenci dysponowali ponadto daleko idącym pełnomocnictwem do wydawania zarządzeń w imieniu Rzeszy dotyczących materii, które w starej Rzeszy były jednolicie uregulowane, jak np. prawa pracy lub najmu. Dla sądów oznaczało to, że przed decyzją musiały najpierw sprawdzić, które prawo znajdzie w ogóle uzasadnienie” (s. 25, 27). Prościej było w przypadku prawa karnego, któremu w całości nadano „niemiecki sznyt”, lecz w wielu skomplikowanych aspektach kodeksu postępowania cywilnego zwykle zastąpienie polskich przepisów niemieckimi okazywało się po prostu niemożliwe.

³ Zob. D. Majer, „Narodowo obcy” w Trzeciej Rzeszy. Przyczynek do narodowo-socjalistycznego ustawodawstwa i praktyki prawniczej w administracji i wymiarze sprawiedliwości ze szczególnym uwzględnieniem ziem wcielonych do Rzeszy i Generalnego Gubernatorstwa, tłum. T. Skoczny, Warszawa 1989, s. 6–9, 344–348 (wyd. niem.: „Fremdvölkische” im Dritten Reich. Ein Beitrag zur nationalsozialistischen Rechtssetzung und Rechtspraxis in Verwaltung und Justiz unter besonderer Berücksichtigung der eingegliederten Ostgebiete und des Generalgouvernements, Boppard am Rhein 1981).

W rozdziale II Becker szczegółowo opisał organizację tamtejszego sądownictwa. Plastycznie nakreślił jego podział i przeobrażenia strukturalne aż do końca wojny (s. 47 i n.). Podkreślił, że w prowincjach funkcjonowały wyższe sądy krajowe (*Oberlandsgerichte*). Niższą instancją stanowiły sądy krajowe (*Landesgerichte*), zaś najniższą – sądy powiatowe (*Amtsgerichte*). Obok nich utworzono także cywilne i wojskowe sądy specjalne (*Sondergerichte*). Wskazał on przy tym trafnie, że proces ustawicznego zaostrzania prawa karnego wobec „narodowo obcych” znalazł swoje odbicie przede wszystkim w zarządzeniu Rady ds. Obrony Rzeszy (*Ministerrat für die Reichsverteidigung*) z 4 XII 1941 r. (Rozporządzenie w sprawie systemu wymiaru sprawiedliwości wobec Polaków i Żydów na zajętych terytoriach, inaczej Dekret o Polakach – *Polenstrafrechtsverordnung*). Drastycznie ograniczono również ich prawa jako oskarżonych w procesach dotyczących „zachowania wrogiego Niemcom”. Na mocy tego dokumentu powołano także do życia sądy doraźne (*Standgerichte*), które umożliwiały gestapo arbitralne wydawanie wyroków i skazywanie na śmierć bądź skierowanie do obozu koncentracyjnego osób podejrzanych o nawet najmniejsze wykroczenia przeciwko niemieckiej władzy okupacyjnej. Policyjne sądy doraźne wprowadzone zostały na obszarach anektowanych w okręgach Arthura Greisera (Kraj Warty), Ericha Kocha (Prusy Wschodnie) oraz Fritza Brachta (Górny Śląsk), którzy widzieli w nich elastyczny i skuteczny instrument służący do wcielania w życie hitlerowskiej polityki terroru i eksterminacji wobec ludności polskiej.

Wymagania „walki narodowościowej” w Polsce powodowały, że przysłani ze starej Rzeszy prawnicy wykazywali się niezwykłą gorliwością w realizacji swojej misji w duchu dyskryminacji etnicznej, która radykalizmem przewyższała to, co działo się w innych krajach okupowanych przez III Rzeszę. W kwestii obsady pracowniczej sądów Becker zwrócił uwagę, że kadry sędziów i prokuratorów państwowych były stosunkowo mniej wykwalifikowane niż te ze starej Rzeszy, o czym mowa jest w rozdziale III. W tym kontekście Becker, z racji niedostatku innych źródeł, skoncentrował się zwłaszcza na personelu Wyższego Sądu Krajowego w Poznaniu, co spowodowało, że jego wnioski nie do końca są reprezentatywne dla wybranego obszaru badawczego. Czynił on jakkolwiek interesujące uwagi dotyczące wysokiego stopnia nazyfikacji tamtejszych sędziów i prokuratorów w porównaniu z ich kolegami po fachu ze starej Rzeszy. Byli oni bowiem w większości członkami NSDAP, a niektórzy również partyjnych przybudówek, takich jak chociażby „oddziały szturmowe” (*Sturmabteilungen* – SA) i SS. Ponadto bardzo wielu prawników wywodziło się ze wschodnich części Niemiec, zwłaszcza z pogranicza polsko-niemieckiego (Śląsk, Marchia Graniczna, Poznańskie – Prusy Zachodnie, Prusy Wschodnie, Brandenburgia) i reprezentowało klasę średnią młodego pokolenia (ich średni wiek w 1939 r. wynosił 37 lat), co skutkowało tym, że nie mieli oni wówczas znaczącego doświadczenia zawodowego. Część z nich stanowili też z reguły starsi wiekiem przesiedleńcy z Europy Środkowo-Wschodniej, w tym z państw bałtyckich, Wołynia czy Galicji, którzy przed rozpoczęciem swojej pracy musieli przejść odpowiednie kursy językowe i zawodowe, gdyż najczęściej nie znali przepisów prawa niemieckiego. Autor wysunął tezę, że postawa ideologiczna (antypolonizm, antysemityzm), kwestia pochodzenia, wieku oraz tło społeczno-zawodowe rezerwuaru kadrowego prowadziły niewątpliwie do rozwoju „coraz bardziej radykalizującego się orzecznictwa” w duchu nazistowskiego reżimu okupacyjnego (s. 103). Rozpatrując skład personalny kierownictwa Wyższego Sądu Krajowego w Poznaniu, Becker wyeksponował przykład zaufanego współpracownika Greisera i przewodniczącego tego sądu, Helmuta Frobösa, który przed wojną był prezydentem

policii w Gdańsku. Niemniej sporo miejsca w swojej pracy autor poświęcił również Walterowi Wohlerowi, prezesowi Wyższego Sądu Krajowego w Gdańsku, a także Johannesowi Blockowi i Karłowi Drendelowi, którzy w okresie wojny piastowali analogiczne stanowisko w Katowicach. Ten ostatni, jak słusznie zauważył autor, był w latach 1940–1943 nawet prokuratorem krajowym w Warthegau.

W rozdziale IV Becker w oryginalny sposób zaprezentował swoje rozważania na temat sądownictwa cywilnego w służbie germanizacji. Opisał założenia tzw. opieki prawnej na obszarach anektowanych (*Ostrechtspflege*), która została ustanowiona pod koniec września 1941 r. i polegała na usankcjonowaniu skrajnej nierówności rasowej wobec Polaków oraz Żydów (s. 117 i n.). W ocenie autora prawo cywilne na ziemiach anektowanych stanowiło *de facto* „prawo uprzywilejowane dla Niemców”. Wprowadzanie w życie programu germanizacji poprzez wywłaszczenia, arbitralne orzekanie przez sądy rozwodów dla wielu mieszanych małżeństw polsko-niemieckich czy masowe odbieranie „zdolnych do niemieckizacji” polskich dzieci rodzicom świadczyło tylko o tym, że wymiar sprawiedliwości w zachodniej Polsce istotnie wspierał i legitymizował politykę reżimu, współpracując przy tym zgodnie z administracją okupacyjną, jak chociażby z Głównym Urzędem Powierniczym Wschód, agendami osadniczymi z ramienia komisarza Rzeszy do spraw umacniania niemieckizacji oraz z SS. Co więcej, kooperacja z policją niemiecką i SS dodatkowo radykalizowała praktykę wymiaru sprawiedliwości. W związku z tym, że policja stopniowo zdobywała coraz większe kompetencje w sferze prawa karnego, prawnicy odczytywali to bynajmniej nie jako uszczuplenie ich wpływów, lecz akceptowali i często ochoczo przejmowali morderczą bezwzględność organów bezpieczeństwa, o czym Becker napisał szczegółowo w rozdziale V. W kolejnej części pracy skoncentrował się on na prawie karnym, którego realizacja na terenach inkorporowanych stanowiła wyraz radykalnej dyskryminacji rasowej wobec „obcych etnicznie” (s. 165 i n.). Podlegali oni bowiem drakońskiemu prawu specjalnemu, na mocy którego byli surowo karani, najczęściej śmiercią, za najdrobniejsze nawet wykroczenia (jak chociażby opór w trakcie aresztowania, kradzież kur, ubój bez zezwolenia, opowiadanie „defetystycznych” dowcipów, kolportowanie ulotek lub słuchanie zagranicznych radiostacji) czy akty przemocy w stosunku do Niemców, a także za udział w ruchu oporu czy napaść na własność obywateli Rzeszy. Ci ostatni natomiast nie musieli w praktyce obawiać się żadnych sankcji prawnych, jeśli dopuściliby się jakichkolwiek deliktów w odniesieniu do nietykalności cielesnej czy majątkowej Polaków i Żydów. Wiele takich czynów, podobnie jak częste wśród nazistowskiego aparatu urzędowo-partyjnego w okupowanej Polsce przypadki korupcji i malwersacji finansowych (zob. przykład nadburmistrza Bydgoszczy Wernera Kampego⁴), było rozpatrywanych i tak nie przez tamtejszy wymiar sprawiedliwości, lecz w trybie dyscyplinarnym przez administrację cywilną w poszczególnych prowincjach,

⁴ Sąd krajowy w Bydgoszczy, a następnie hitlerowski trybunał partyjny prowadziły wobec Kampego w 1941 r. śledztwo dotyczące defraudacji i przywłaszczenia sobie przez niego mienia wysiedlonych bądź zamordowanych Polaków, które sprzedawał następnie po zaniżonej cenie swoim współpracownikom. Ostatecznie postępowanie w łonie NSDAP zakończyło się jedynie otrzymaniem przez Kampego nagany, zaś lokalny sąd w ogóle umorzył jego sprawę. Co więcej, dzięki gauleiterowi Forsterowi został on w tym samym roku przeniesiony jako kreisleiter do Gdańska. Sąd specjalny w Bydgoszczy orzekł natomiast wobec siedmiu jego akolitów kary pozbawienia wolności oraz na niektórych z nich nałożył wysokie grzywny. Umorzenie postępowania wobec Kampego spowodowało niezrozumienie wśród miejscowej ludności niemieckiej

właściwe sądy w starej Rzeszy bądź w łonie NSDAP czy SS.

Zasługujące również na uwagę są refleksje i przytaczane przez Beckera dane na temat wydawanych przez sądy specjalne i wyższe sądy krajowe wyroków śmierci. Co interesujące, w Kraju Warty w okresie wojny nałożono aż 2 tys. takich kar, z których więcej niż jedna piąta (436) było dziełem samego Sondergericht Posen (s. 181). Z kolei w rejencji ciechanowskiej tylko w pierwszej połowie 1943 r. na 443 prowadzonych tam postępowań wydano blisko 25% takich wyroków, zaś w Bydgoszczy ich odsetek wynosił 19% całego wojennego orzecznictwa. *Summa summarum*, w czasie wojny niemiecki wymiar sprawiedliwości na ziemiach wcielonych orzekł 5 tys. wyroków śmierci, z czego 4,5 tys. zostało wykonanych. Do tego dochodziło 5,5–6 tys. osób skazanych na kary pozbawienia wolności, głód, choroby i destrukcyjne skutki katorżniczej pracy przymusowej, nie wspominając już o więźniach zmarłych w obozach koncentracyjnych (s. 291). W żadnym innym kraju pod panowaniem III Rzeszy, a nawet na ziemiach II RP znajdujących pod okupacją sowiecką w latach 1939–1941 „w tak krótkim czasie nie skazano tak wielu ludzi na śmierć niż tutaj”, co miało dobitnie świadczyć o bezwzględności i wpojonym poczuciu „rasowej misji” w duchu walki narodowościowej wśród przedstawicieli aparatu sprawiedliwości na terenach inkorporowanych (s. 304). Niemniej – zaakcentował Becker – zarówno na ziemiach wcielonych, jak i w starej Rzeszy większość oskarżonych – Polaków, Żydów czy Niemców – skazywano na kary więzienia, a wskaźnik uniewinnień był przy tym „zaskakująco wysoki”⁵ (s. 295).

Pomimo swego zaangażowania w represyjną i ludobójczą politykę narodowościową okupanta niemieckiego, wielu prawnikom, którzy w latach 1939–1945 pracowali na ziemiach wcielonych, udało się uniknąć każącej ręki zachodniemieckiego wymiaru sprawiedliwości. Z ogółem 1162 tamtejszych sędziów i prokuratorów 482 mogło bez problemu kontynuować swoje kariery zawodowe po wojnie. Wynikało to m.in. z faktu, że często brakowało dokumentacji na temat ich zbrodniczej działalności bądź dostęp do ich teczek personalnych był znacząco utrudniony (s. 263 i n.). W latach pięćdziesiątych udało się wprawdzie zapoczątkować śledztwa przeciwko wielu sędziom, lecz brakowało dowodów, ażeby komukolwiek wytoczyć proces. Ogółem zachodniemieccy prokuratorzy prowadzili śledztwa wobec 219 prawników z polskich ziem wcielonych do Rzeszy. Niektórzy z nich zrobili nawet imponujące kariery w RFN, jak np. były radca Wyższego Sądu Krajowego w Poznaniu, Joseph Wolany, który w 1953 r. został mianowany sędzią Trybunału Federalnego w Karlsruhe. Kolejnym przykładem w tej materii jest prokurator naczelny przy Oberlandesgericht Posen Walter Wagner, który pod koniec lat pięćdziesiątych awansował na prokuratora federalnego. Do Polski alianci zachodni dostarczyli pod koniec lat czterdziestych tylko trzech przedstawicieli nazistowskiego wymiaru sprawiedliwości, spośród których jedynie Josef Abbot, były prokurator Wyższego Sądu Krajowego w Gdańsku, piastował urząd na terenach

oraz przyczyniło się do utraty poważania tamtejszego wymiaru sprawiedliwości (s. 206–207).

⁵ Autor dodał jednak, że zdarzające się niekiedy przypadki uniewinnień oskarżonych miały służyć przede wszystkim zachowaniu przez nazistowskie sądy pozorów obiektywizmu prawniczego i stanowić oznakę legitymizacji reżimu okupacyjnego. Często uniewinnieni byli bowiem później przekazywani gestapo, co oznaczało dla nich w konsekwencji zesłanie do „aresztu ochronnego” lub obozu koncentracyjnego. Niemniej zdarzały się też osoby, które po zaledwie kilku miesiącach policja wypuszczała na wolność bądź którymi w ogóle się nie interesowała (s. 184–185).

anektowanych. Został on skazany w 1950 r. przez sąd w Krakowie na 7 lat pozbawienia wolności. W 1955 r. zwolniono go z więzienia i w 1956 r. rozpoczął pracę w sądzie krajowym w Koblencji.

W podsumowaniu należy stwierdzić, że książka Maximiliana Beckera stanowi cenny wkład w wyjaśnienie mechanizmów funkcjonowania oraz roli nazistowskich sądów jako instrumentu polityki germanizacji na ziemiach wcielonych. Pomimo że niektóre zagadnienia, jak np. te dotyczące obsady kadrowej wymiaru sprawiedliwości czy sądownictwa cywilnego, mogłyby być bardziej szczegółowo i kompleksowo scharakteryzowane, nie wpływa to oczywiście na wysoką ocenę jego dzieła. Autor przekonująco dowiódł bowiem, że tamtejszy wymiar sprawiedliwości stanowił jeden z filarów programu dyskryminacji rasowej realizowanego z morderczą konsekwencją przez reżim hitlerowski wobec ludności polskiej i żydowskiej. W dalszym ciągu bowiem w dobie powracającego często jak mantra w zachodnich mediach fałszywego określenia „polskie obozy śmierci”, konieczne i wskazane jest przypomnienie tamtejszej opinii publicznej, także w Niemczech, o krwawym terrorze oraz ludobójczym charakterze okupacji w Polsce. Książka Beckera otwiera jednocześnie szereg nowych pól badawczych, również w aspekcie porównawczym, na temat nazistowskiego wymiaru sprawiedliwości w innych krajach podbitych przez III Rzeszę. Rzetelności naukowej tego studium dodaje z pewnością fakt, że jest ono oparte na solidnej bazie źródłowej, na którą składają się dokumenty z archiwów polskich (np. z Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie i Łodzi czy z Archiwum Państwowego w Bydgoszczy i Poznaniu) i niemieckich (z Archiwum Federalnego w Berlinie i Ludwigsburgu, Instytutu Gaucka oraz z archiwów krajów związkowych). Becker korzystał również obficie z polskiej i niemieckiej historiografii, odwołując się chociażby do rozpraw koryfeuszy naszego dziejopisarstwa, takich jak Karol Marian Pospieszalski, Czesław Łuczak, Czesław Madajczyk, Ryszard Kaczmarek czy Alfred Konieczny, a także do innych opracowań polskich badaczy⁶, co także niewątpliwie wpłynęło na wysoką wartość poznawczą i merytoryczną tego godnego polecenia dzieła.

Wojciech Wichert
Szczecin

⁶ Zob. m.in.: K.M. Pospieszalski, *Polska pod niemieckim prawem, 1939–1945*, Poznań 1946; idem, *Hitlerowskie „prawo” okupacyjne w Polsce. Wybór dokumentów*, cz. 1: *Ziemie „wcielone”*, seria: „Documenta Occupationis”, t. V, Poznań 1952; Cz. Madajczyk, *Okkupationspolitik Nazi Deutschlands in Polen 1939–1945*, Berlin 1987 (wyd. pol.: *Polityka III Rzeszy w okupowanej Polsce*, t. I–II, Warszawa 1970); A. Konieczny, *Pod rządami wojennego prawa karnego Trzeciej Rzeszy. Górny Śląsk 1939–1945*, Warszawa 1972; *Wysiedlenia ludności polskiej na tzw. ziemiach wcielonych do Rzeszy 1939–1945*, wybór i oprac. Cz. Łuczak, seria: „Documenta Occupationis”, t. VIII, Poznań 1969; R. Kaczmarek, *Pod rządami gauleiterów. Elity i instancje władzy w reencji katowickiej w latach 1939–1945*, Katowice 1998; S. Godlewski, *Sądownictwo III Rzeszy na okupowanych terenach Polski włączonych do Rzeszy*, w: *Zbrodnie i sprawcy. Ludobójstwo hitlerowskie przed sądem ludzkości i historii*, red. Cz. Pilichowski, Warszawa 1980, s. 526 i n.; T. Jaszowski, *Hitlerowskie prawo karne na Pomorzu 1939–1945*, Warszawa 1989; E. Zarzycki, *Działalność hitlerowskiego Sądu Specjalnego w Bydgoszczy w latach 1939–1945*, Warszawa–Poznań 1987; B. Bojarska, *Eksterminacja inteligencji polskiej na Pomorzu Gdańskim (wrzesień – grudzień 1939)*, Poznań 1972; W. Porzycki, *Posłuszni aż do śmierci. Niemieczy urzędnicy w Kraju Warty 1939–1945*, Poznań 1997.

Sebastian Pawlina, *Praca w dywersji. Codziennosc żołnierzy Kedywu Okręgu Warszawskiego Armii Krajowej*, Gdańsk 2016, Muzeum II Wojny Światowej, ss. 399

Badacze i zainteresowani dziejami Armii Krajowej otrzymali ostatnio bardzo istotną publikację wydaną staraniem Muzeum II Wojny Światowej. Jest to monografia pióra młodego historyka – Sebastiana Pawlina – pt. *Praca w dywersji. Codziennosc żołnierzy Kedywu Okręgu Warszawskiego Armii Krajowej*. Autor podjął problematykę, która choć w różnorodnym stopniu i w różnych kontekstach pojawia się w wielu pracach dotyczących konspiracji, to do tej pory nie stanowiła przedmiotu odrębnych badań. Pawlina zajął się życiem codziennym żołnierzy pionu walki bieżącej Armii Krajowej, czyli Kedywu Okręgu Warszawskiego. I jakkolwiek w naszej historiografii opisującej dzieje Polskiego Państwa Podziemnego, jego cywilnych i wojskowych struktur, panuje swoisty warszawocentryzm, to na paradoks zakrawa fakt, iż do tej pory nie dysponujemy np. monografią Okręgu Warszawskiego AK, a tym samym całościowym opisaniem różnych aspektów dziejów struktur AK na terenie Warszawy. Dzieje oddziałów zbrojnych warszawskiej konspiracji stanowiły przed laty przedmiot badań Tomasza Strzembosza, autora pionierskich i fundamentalnych w tym zakresie prac. I w pewnym sensie kontynuatorem niektórych aspektów badań Tomasza Strzembosza jest właśnie Sebastian Pawlina.

Uzasadniając wybór Kedywu Okręgu Warszawskiego jako obiektu swoich badań Pawlina stwierdził, iż „[...] w skali Warszawy posiadał on charakter szczególny, będąc swoistym «wyciągiem» z warszawskiego podziemia” (s. 27), co dotyczyło zarówno reprezentacji niemal wszystkich warstw społecznych i licznych zawodów, jak i przekroju wiekowego. Jak słusznie zauważył też sam Autor – w kontekście swoich rozważań o pamięci o poległych – „Jest więc ta książka nie tylko naukowym opracowaniem codzienności Kedywu OW AK, nie tylko próbą wykonania kolejnego kroku na drodze do zrozumienia samego zjawiska konspiracji, oporu czy w końcu buntu, nie tylko uzupełnieniem tego, co dotąd nie przebadane, ale również formą realizacji tego obowiązku pamięci” (s. 30).

Przy odtwarzaniu codzienności żołnierzy Kedywu sięgnął Autor przede wszystkim po opublikowane już wspomnienia, relacje i notatki kedywiaków, mając przez to wgląd w ich spojrzenie na wojenną przeszłość zarówno ze szczebla szefa Kedywu (dr. Józefa Rybickiego), jak i dowódców oddziałów oraz szeregowych żołnierzy dywersji. Wykorzystał też bogaty (w niektórych kwestiach podstawowy) zbiór relacji zebranych w latach siedemdziesiątych przez Tomasza Strzembosza, a złożonych obecnie w Archiwum Akt Nowych. Kwerendę przeprowadził także w Archiwum Historii Mówionej Muzeum Powstania Warszawskiego. Nieocenionym zaś źródłem z epoki były dla autora dokumenty z archiwum Kedywu Okręgu Warszawskiego, opublikowane w kilku tomach przez Hannę Rybicką w XXI w. Dla zobrazowania niektórych kwestii sięgnął także po wspomnienia konspiratorów spoza Kedywu i struktur wojskowych. Pawlina z powodzeniem zdecydował się na wykorzystanie, jako swoistego źródła, literatury pięknej poświęconej zagadnieniom konspiracji, jak np. *Kolumbów* Romana Bratnego.

Trzy pierwsze rozdziały książki są tłem zasadniczych rozważań Autora. Śladem przede wszystkim ustaleń Tomasza Szaroty i Władysława Bartoszewskiego przedstawił Warszawę pod okupacją niemiecką, zwracając uwagę na warunki bytowe warszawiaków i niemiecki terror, zaś wykorzystując przede wszystkim opracowania Strzembosza, omówił koncepcje walki bieżącej ZWZ-AK, by zakończyć to krótkie wprowadzenie omówieniem historii i struktury organizacyjnej Kedywu OW.

Zasadniczego tematu dotyczy rozdział „Codziennosc zwyczajna”. Na pierwszy plan wybija się tu niedożywienie warszawiaków i w tym kontekście żołnierzy Kedywu, którzy znajdowali się jednak, przynajmniej częściowo, mimo wszystko w nieco lepszej sytuacji niż przeciętny mieszkaniec Warszawy. Z jednej strony mogli liczyć na wsparcie finansowe struktur podziemnego państwa (np. dodatki świąteczne czy zapomogi), z drugiej nie bez znaczenia były akcje rekwizycyjne, z których część zdobywczych artykułów rozdysponowywano wśród najbardziej potrzebujących żołnierzy. „Niestety, to wszystko były przypadki jednostkowe, stanowiące wyjątek od reguły – żołnierz konspiracji chodził niemal ciągle głodny” (s. 79) – konstatował Autor. Istotną kwestią był w okresie okupacji alkohol, który był wówczas wszechobecny, a którego spożywanie lub nadużywanie mogło spowodować (poprzez niekontrolowane zachowania) śmiertelne niebezpieczeństwo dla żołnierzy podziemia. Nie stronił Autor od podjęcia i tego wątku, który siłą rzeczy wpisywał się w codzienność żołnierza dywersji w różnych zresztą kontekstach, czasem nawet smutnej konieczności wypicia nie tyle dla rozluźnienia nerwów i oderwania się od rzeczywistości, ile dla bezpieczeństwa. Kolejny wątek poruszony w książce to ubiór żołnierzy dywersji. Pawlina zauważył przy tym, iż ów „typowy” wygląd konspiratora w długich butach i bryczesach wylansowała właściwie literatura piękna, co nie oznacza, iż ten typ ubioru nie był noszony, o czym świadczą zresztą publikowane i w tej pracy fotografie. Autor zwrócił uwagę na dwie zasadnicze kwestie związane z ubraniem. Przede wszystkim zdrowie żołnierzy, którzy mając odpowiednie ubrania, byli (przy stałym niedożywieniu) mniej narażeni na różne choroby i infekcje ograniczające możliwość służby. Jednocześnie bardzo ważną sprawą stanowiła zmiana co jakiś czas ubrania, tak by nie być rozpoznawalnym na ulicy przez noszenie tej samej marynarki czy kapelusza, jak miało miejsce np. w przypadku Henryka Witkowskiego, któremu jeden z przyjaciół podczas akcji w listopadzie 1943 r. zwrócił uwagę, że jego kapelusz niedługo będzie znała cała Warszawa. Nie mniej istotne zagadnienie stanowiły mieszkania (generalnie, jak wynika z wielu relacji, wieczne niedogrzanane). Jak zaznaczył Autor, doświadczony konspirator J. Rybicki zauważał, że nie można było całkowicie oddzielić wówczas mieszkania od organizacji. Potwierdzają to ustalenia S. Pawliny. Jak słusznie przy tym skonstatował: „Sąsiedzi potrafiący zachować tajemnicę, mimo codziennego dostrzegania całych pielgrzymek podejrzanie wyglądających gości, stanowili dla konspiratora jeden z najważniejszych elementów pozwalających sądzić, że dany lokal jest bezpieczny” (s. 103).

Wiele ważnego materiału i ustaleń przynosi kolejny rozdział „Finanse i odpoczynek”. Przede wszystkim dominują w nim kwestie bytowe żołnierza dywersji, nad którymi badania zapoczątkował swego czasu T. Strzembosz. Tu zostały one pogłębione i poszerzone. Pawlina przedstawił zagadnienia finansowe w kontekście etatów podziemnej armii i wypłacanych ekwiwalentów oraz dodatków, a także zapomóg dla najbardziej potrzebujących. Nie stroniąc od trudnych problemów (w kontekście warunków bytowych), poruszył też problem od kilku do kilkunastu samowolnych akcji rekwizycyjnych przeprowadzonych przez żołnierzy Kedywu OW i konsekwencji udziału w tych akcjach. Mając na uwadze stwierdzenie Strzembosza o zjawisku „zużywania się” żołnierzy konspiracji, Pawlina omówił także zagadnienie odpoczynku żołnierza dywersji, czyli obowiązkowych urlopów, które z jednej strony dawały możliwość podreperowania zdrowia (nie tylko w aspekcie psychiki), z drugiej zaś powodowały zmniejszenie regularności pojawiania się w konkretnych lokalach konspiracyjnych.

Żołnierz dywersji miał bliskich, rodzinę, przyjaciół. I tym aspektem, tj. wzajemnym odniesieniem między żołnierzami dywersji a ich bliskimi, poświęcił S. Pawlina kolejny rozdział swojej monografii, zwracając uwagę na bardzo szeroki wachlarz zachowań i relacji na linii konspirator–bliscy. Podkreślił przy tym rolę wsparcia psychicznego ze strony bliskich, którzy albo sami byli w konspiracji, albo zdawali sobie sprawę z zaangażowania ich syna, córki czy brata. W tym też rozdziale oddzielny fragment Autor poświęcił odniesieniom między społeczeństwem Warszawy a żołnierzami dywersji, przywołując jako punkt wyjścia ustalenia Delegatury Rządu z 1942 r. o podziale miasta na Warszawę heroiczną (25%), Warszawę państwa Kowalskich (70%) i Warszawę haniebną (5%). Opatrzył przy tym tytuł podrozdziału „Warszawska solidarność” znakiem zapytania, ale w świetle tego, co sam pisał, ów pytajnik zdaje się nie mieć tu racji bytu.

W niektórych fragmentach praca S. Pawliny wykracza poza to, co zwykle się określać „życiem codziennym”. Wchodzi w sferę rozważań z zakresu psychologii, aczkolwiek w jakiś sposób wiąże się to z owym życiem codziennym (jeśli za jego element przyjmujemy konieczność podejmowania codziennych decyzji). Tak jest w przypadku rozdziału „Bij Niemca. O powodach wstępowania do konspiracji”.

„Ars conspirandi. Codziennosc konspiracyjna” to najobszerniejszy rozdział omawianej pracy i właściwie kwintesencja podjętego tematu. Kontynuując wątek o powodach wstępowania do konspiracji, Pawlina przeanalizował powstawanie oddziałów bojowych Kedywu w aspekcie powiązań towarzysko-koleżeńskich ich żołnierzy (lub braku takich), co wpływało na szereg zagadnień życia żołnierzy tychże oddziałów, jak np. używanie lub nie (gdy się wszyscy dobrze znali z imienia i nazwiska) pseudonimów organizacyjnych w codziennych kontaktach. Miało to też konsekwencje w przestrzeganiu zasad bezpieczeństwa w konspiracji. Na podstawie, jak sam podkreślił, stosunkowo jednak niewielkiej liczby relacji autor skonstatował: „Jeśli [oddział – M.N.K.] pochodził z koleżeńkiego zaciągu [...] to zasady konspiracji odsuwano na bok. Jeśli zaś swoje źródła dana jednostka miała w bardziej formalnym, procesie tworzenia, a jej żołnierze nie znali się prywatnie – wtedy zaleceń bezpieczeństwa przestrzegano” (s. 209). Mocno podkreśla też uwagę na predyspozycje, jakie musieli posiadać żołnierze oddziałów dywersji. Pisał o kontaktach organizacyjnych, podkreślając, iż „Brak odpowiedniej współpracy między poszczególnymi komórkami podziemia niejednokrotnie prowadził do tragedii” (s. 206). Zauważył wpływ wszechobecnego stresu towarzyszącego żołnierzom oddziałów dywersyjnych i przeanalizował sposoby jego odreagowywania. Przytoczył też przykłady zachowań w sytuacjach zagrożenia, związane z posiadaniem przez konspiratora trucizny, przywołując zdarzenia spoza Kedywu. Między innymi opisał odprawę KG AK z listopada 1943 r., w czasie której szef Oddziału II ppłk Marian Drobik zażył truciznę, uznając, iż dobijanie się do drzwi lokalu oznacza najście gestapo. W tym jednak przypadku autor poszedł utartym śladem i nie sięgnął do nowszych opracowań, które wyjaśniają to tragiczne zdarzenie będące nie skutkiem najścia Niemców, a ostrą reakcją szefa Sztabu KG AK na złożony przez Drobika memoriał i zażyciem przez podpułkownika trucizny po nazwaniu go „zdrajcą”¹. Sporo miejsca poświęcił Autor budowie „legend” mających uwiarygodnić tożsamość tych, którym przyszło funkcjonować na „lewych” papierach,

¹ Szerzej zob. W. Bułhak, *Raport szefa Oddziału II KG AK ppłk. dypl. Mariana Drobika „Bieżąca polityka a polska rzeczywistość” i sprawa jego aresztowania (listopad–grudzień 1943)*, w: *Wywiad i kontrywywiad Armii Krajowej*, red. W. Bułhak, Warszawa 2008, s. 15–77.

ale także i tych, którzy działali pod swoimi prawdziwymi nazwiskami. Zwrócił uwagę na bardzo istotne kwestie, które czasem umykają uwadze badaczy. Jak słusznie pisał: „Jeden z najpoważniejszych sprawdzianów dla konspiratora, dla jego umiejętności panowania nad nerwami, stanowiła czynność absolutnie prozaiczna: wyjście na ulicę i poruszanie się po niej” (s. 229). W tym też kontekście przeanalizował różne zachowania żołnierzy dywersji. Generalnie skonstatował tu, iż „[...] w konspiracji liczyły się nie instrukcje, ale zdrowy rozsądek i poczucie odpowiedzialności za siebie i innych” (s. 240). Szczególnym elementem odróżniającym żołnierza dywersji od „zwykłego” konspiratora był dostęp do broni. I to zagadnienie także zostało omówione w recenzowanej pracy.

W rozdziale „Podziemna rodzina” Pawlina przedstawił, najogólniej rzecz ujmując, wzajemne odniesienia między żołnierzami konspiracji oraz na linii dowódca–podwładni. Zwrócił tu uwagę na szczególną w armii podziemnej sylwetkę dowódcy – dr. Józefa Rybickiego, od listopada 1943 r. szefa Kedywu OW. Do legendy Kedywu przeszła forma, w jakiej ten dowódca a jednocześnie wybitny humanista, filolog klasyczny, nauczyciel z powołania i wychowawca młodzieży, wydawał rozkazy, np. „proszę wysadzić w powietrze ten tor kolejowy”. Jak jednak zauważali jego podkomendni, „[...] wszystko to było poparte odpowiednim tonem, spojrzeniem oraz autorytetem, wobec którego trudno było o jakikolwiek sprzeciw” (s. 265). W aspekcie codzienności konspiratorów z dywersji Pawlina zwrócił słusznie uwagę na więzi przyjaźni łączące żołnierzy w oddziałach, co z jednej strony mogło stwarzać zagrożenie, z drugiej zaś dawało poczucie bycia w jednej konspiracyjnej rodzinie. Wydaje się to tym istotniejsze, że wielokrotnie ze względów bezpieczeństwa musiano do minimum ograniczać albo wprost zrywać kontakty z bliskimi. Autor słusznie zauważył, że „Zagadnienie więzi międzyludzkich w konspiracji bez wątpienia należy do jednych z najważniejszych dla zrozumienia mechanizmów jej działania. [...] Od tego, jak odnajdywali się w tych strukturach, jak wypełniali rozkazy, czy wystarczająco respektowali zakazy, a przede wszystkim, jak potrafili porozumieć się z ludźmi ze swoich oddziałów i komórek – od tego zależało powodzenie konspiracji” (s. 293).

Jak już zaznaczono, problematyka pracy S. Pawliny wielokrotnie wykracza poza to, co zwykle się określać mianem „życia codziennego”. Tak też jest w rozdziale „Psychologiczne problemy żołnierzy konspiracji”, gdzie Autor rozwinął niektóre podniesione przed laty przez Strzembosza wątki tematyczne. Powrócił tu do wszechobecnego napięcia nerwowego, stresu i konsekwencji tego stanu dla żołnierza dywersji. Przedstawił problemy, z którymi zmagać się musieli żołnierze wykonujący wyroki śmierci nie tylko na Niemcach, ale i na zdrajcach oraz konfidentach.

Książkę zamykają krótki rozdział mający charakter epilogu odnoszącego się do udziału żołnierzy Kedywu OW w Powstaniu Warszawskim oraz podsumowanie. Dopelnienie stanowią krótkie noty biograficzne najważniejszych postaci pojawiających się na kartach opracowania oraz bibliografia i indeks nazwisk, a także ilustracje, w których zabrakło jednak dokumentów osobistych używanych w konspiracji przez żołnierzy dywersji.

Zdaniem recenzenta Autor niezbyt dokładnie uwypuklił fakt, iż AK była podziemnym Wojskiem Polskim, częścią Sił Zbrojnych RP. To właśnie z tego, iż była to ogólnonarodowa armia, wynikało owo wielkie zróżnicowanie w porównaniu z wojskówkami takimi, jak GL-AL czy NSZ. Jednocześnie to, iż AK była częścią Sił Zbrojnych RP, wpływało na zagadnienia finansowania i etatów podziemnego wojska. Czasem razi używanie terminu „ruch oporu” w odniesieniu do sytuacji na ziemiach polskich. O ile

w pełni uprawnione jest pisanie o Tadeuszu Borze-Komorowskim (bo tak sam się podpisywał po wojnie), o tyle ahistoryczne jest pisanie o Stefanie Grocie-Roweckim, który albo był Stefanem Roweckim, albo „Grotem”.

Podsumowując, otrzymaliśmy bardzo istotną pozycję, która przede wszystkim wypełnia lukę badawczą dotyczącą codziennego życia żołnierza konspiracji. Jednocześnie praca ta ukazuje szereg problemów z zakresu psychologii wojskowej w aspekcie podziemnego wojska, wymagających dalszych badań.

Marek Ney-Krwawicz
Warszawa

Piotr Stanek, *Przystanek Lamsdorf. Powstańcy warszawscy w obozie jenieckim Stalag 344*, Opole 2015, Centralne Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu, ss. 176

Powstanie Warszawskie, jak i losy jego uczestników doczekały się już bardzo obfitej i wieloaspektowej literatury zarówno w wymiarze naukowym, jak i wspomnieniowym. Wśród wielu publikacji z ostatnich czasów zwraca uwagę, mimo swoich niepozornych rozmiarów, publikacja Piotra Stanka *Przystanek Lamsdorf. Powstańcy warszawscy w obozie jenieckim Stalag 344*, wydana w 2015 r. przez Centralne Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu, które w swoim dorobku ma wiele istotnych dla jenieckiej tematyki pozycji wydawniczych.

Powyższa praca jest ważna, gdyż zarówno sumuje dotychczasowy stan wiedzy na temat pobytu żołnierzy Armii Krajowej w Stalagu 344, jak i weryfikuje niektóre dotychczasowe ustalenia, dając w miarę pełną panoramę zagadnień z tym związanych. Autor, mający za sobą już szereg publikacji z tego zakresu tematycznego, przeprowadził kwerendę w wielu archiwach, w tym m.in. w Archiwum Akt Nowych, Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej, Archiwum Muzeum Armii Krajowej w Krakowie, Archiwum Muzeum Powstania Warszawskiego, w Zakładzie Rękopisów Biblioteki Narodowej, w Instytucie Polskim i Muzeum im. gen. W. Sikorskiego oraz Studium Polski Podziemnej i Instytucie Józefa Piłsudskiego w Londynie. Sięgnął do najbliższego tematycznie Archiwum Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu, do Archiwów Państwowych w Opolu i Częstochowie. Wykorzystał, jak już wspominałem, dość obszerną literaturę przedmiotu. Pozwoliło mu to na pokazanie różnych aspektów popowstaniowych losów żołnierzy AK, którzy na pierwszym etapie jenieckiej wędrówki przeszli przez Stalag 344 Lamsdorf.

W rozpoczynającym merytoryczną część książki rozdziale Autor kreśli drogę powstańców warszawskich do Stalagu 344, ustalając precyzyjnie daty przybycia poszczególnych transportów do obozu i zwracając uwagę na bardzo ciężkie warunki, w jakich byli oni przewożeni. Według dotychczasowych ustaleń, które przyjmuje Autor, do Stalagu 344 trafiło w sumie 5795 osób. Należy przy tym zauważyć, iż jak pisze P. Stanek, „Lamsdorf był stałym, potężnym jenieckim kompleksem obozowym dla żołnierzy szeregowych i podoficerów, przez który w latach II wojny światowej przeszło ok. 300 tys. jeńców (w tym 200 tys. żołnierzy Armii Czerwonej), którzy należeli do blisko 50 narodów” (s. 29). Tak więc owe niecałe 6 tys. żołnierzy AK to niejako kropla w morzu jeńców w Lamsdorfie. Dla żołnierzy AK, którzy w wyniku

układu o zaprzestaniu działań wojennych w Warszawie trafili do niewoli, było to jednak pierwsze zetknięcie z nowym rozdziałem ich wojennych życiorysów.

Najobszerniejszy rozdział książki poświęcony został warunkom życia w Stalagu 344. Autor wykorzystując tu przede wszystkim relacje i wspomnienia byłych jeńców, kreśli w bardzo sugestywny sposób różne aspekty życia obozowego. Już bowiem pierwsze zetknięcie się z nową rzeczywistością, czyli brutalną rewizją, podczas której jeńcom rekwirowano właściwie wszystko, co strażnicy uznali za niestosowne dla wyposażenia jeńca, było traumatycznym przeżyciem. Czasem udawało się jednak to i owo przemyć. Również w trakcie rejestracji nakazywano oddawać legitymacje AK i dokumenty ze zdjęciem, a zamiast tego dawano „psią blaszkę” z numerem jenieckim i wreszcie zakwaterowanie na terenie tzw. Russenlager, przeznaczonego zwłaszcza dla jeńców radzieckich, w szczególnie trudnych i dokuczliwych warunkach bytowych. Drewniane baraki pozbawione były drzwi i szyb w oknach, co przy jesiennych, a potem zimowych chłodach mocno dawało się jeńcom we znaki. Ciągące się po kilka godzin poranne i wieczorne apele dopełniały obrazu jenieckiego życia. Do tego nieustannie doskwierał głód, m.in. z powodu bardzo ograniczonych stawek żywieniowych. Nie zawahano się w tej sytuacji upolować i spożyć kota, który błąkał się między barakami cywilnych pracowników obozu... Zaiściało i tu zjawisko „czarnego handlu” z papierosową walutą. Autor opisuje też kwestie zdrowotne, tym istotniejsze, że wielu powstańców poszło do niewoli z ranami odniesionymi w czasie walk. Opiekę medyczną faktycznie sprawował polski personel jeniecki, gdyż niemieccy lekarze przychodzili tylko na inspekcje. Urozmaiceniem jenieckiego życia była korespondencja i to zarówno z bliskimi pozostającymi na wolności, jak i ta przierzucana przez druty do współjeńców. Oddzielny podrozdział traktuje o „niecodziennych wydarzeniach w powstańczej zbiorowości”, do których można zaliczyć np. spotkanie 17 lub 18 X 1944 r. oficerów, którzy mieli zostać przewiezieni do innego obozu wraz z żonami przebywającymi w innej – żeńskiej części. Jak pisze autor, „Również przed wyjazdem kobiet z obozu na «szaberplacu» odbyło się spotkanie rodzin, znajomych, sympatii. To bardzo wzruszające pożegnanie nie trwało jednak zbyt długo, zaledwie kilka minut, a przecież dla niektórych było to ostatnie spotkanie w życiu” (s. 65).

Kolejny rozdział (III) Autor poświęca omówieniu różnych grup powstańczych w Stalagu 344. Jak przy tym słusznie zaznacza, „Nigdy wcześniej w historii wojen do niewoli nie trafiła tak specyficzna grupa jak powstańcy warszawscy. Byli to ludzie bardzo zróżnicowani pod względem wieku, płci, pochodzenia i wykształcenia” (s. 69). Byli tu i młodociani (niemający 18 lat, w liczbie ok. 650), i oficerowie (w tym pułkownicy) z doświadczeniem służby z lat I wojny światowej, i kobiety i to zarówno w stopniach oficerskich, jak i szeregowych. Dobrze, iż autor do pełnej panoramy sylwetek jeńców z Lamsdorf dołączył, opublikowany już wcześniej (ale tu nieco zmieniony), artykuł o cywilnej ludności z Warszawy, którą do Lamsdorf przywożono od połowy sierpnia 1944 do 21 października tego roku. Ta grupa umyka czasem naszej uwadze, a w niej także znajdowali się ci żołnierze, którzy zdecydowali się wyjść z Warszawy (ze względów rodzinnych, ale nie tylko) wraz z ludnością cywilną. Jak zauważa Autor, „W przeciwieństwie do powstańców-jeńców, cywilnej ludności w Lamsdorf wówczas nie rejestrowano, nie fotografowano, nie nadawano numerów, jak w następnych obozach (np. Stargard czy Freienwalde), co sprawia, że nie posiadamy wielu istotnych informacji o pobycie tej grupy” (s. 78). Ludność umieszczona została w prowizorycznym obozie pod namiotami i w szałasach przy znikomej opiece medycznej. Jak szacuje Autor, przez Lamsdorf „przewinęło się wówczas w sumie od

ok. dziesięciu do kilkunastu tysięcy wysiedlonych warszawiaków” (s. 84), którzy po doraźnej segregacji zostali przetransportowani w różne rejony III Rzeszy.

Po przedstawieniu warunków życia obozowego i zarysowaniu różnych grup jeńców, w bardzo skondensowanej, ale sugestywnej formie, prezentuje Piotr Stanek postawy jeńców wobec obozowej rzeczywistości. „Dla wielu obóz był trudną próbą. Ciężkie obozowe warunki sprawiały, że łatwiej ujawniały się prawdziwe ludzkie charaktery” (s. 99). I dalej zauważa, iż „Mimo podejmowanych różnorodnych prób zagospodarowania czasu przebywanie w obozie nie przebiegało bezboleśnie, ogarniała powstańców tęsknota za rodzinami i sam fakt pobytu w niewoli, za drutami nastrojał ich pesymistycznie, na co nałożyła się oczywiście dodatkowo wielka trauma po upadku powstania” (s. 102). W tym też kontekście zarysowuje różne działania mające charakter ruchu oporu.

Kolejny rozdział dotyczy życia kulturalno-oświatowego, religijnego i sportowego. Autor zwraca uwagę na to, iż „Pobyt powstańców w Lamsdorf był relatywnie krótki” (s. 113), co przekładało się na możliwość zorganizowania różnych form życia obozowego. Przedstawia zadziwiająco intensywne, jak na warunki Stalagu 344, życie społeczności obozowej. Przywołuje podejmowane samorzutnie próby samokształcenia (i kształcenia dla małoletnich), a także organizowane pogadanki informacyjne mające za cel zapoznanie powstańców ze strukturą i różnymi działaniami AK. Píše o występach utworzonego przez jeńców małego zespołu estradowego, o działaniach informacyjnych. Szkoda, iż nie podaje przy tym tytułów przepisywanych ręcznie gazetek, a jak wiemy skądinąd, były to „Komunikat Informacyjny” i „Informacja Obozowa”. Poprzez swą szatę graficzną z charakterystyczną winiętą wydawnictw BIP KG AK dokumentowały ciągłość działania służby informacyjno-propagandowej KG AK. Stanek pisze o obozowych obchodach Święta Zmarłych i Święta Niepodległości. Podejmuje temat działań artystycznych oraz „sztuki użytkowej”, w której „z niczego” robiono „coś”, nie tylko użytecznego, ale i ładnego. Sporo miejsca poświęca przypomnieniu tych szczególnych, bo pierwszych a jednocześnie ostatnich, świąt Bożego Narodzenia w niewoli...

W ostatnim rozdziale Autor podejmuje problem przeniesień jeńców do innych obozów jeńców. Był przecież Lamsdorf dla powstańców obozem przejściowym i rozdzielnym, z którego kierowano ich w sumie do 12 innych obozów. Ostatecznie w styczniu 1945 r. pozostało w Stalagu 344 blisko 800 powstańców, ale i oni zostali przez Niemców zmuszeni do bardzo ciężkiego, ponad tysiąckilometrowego, marszu ewakuacyjnego w zimowych warunkach.

Na zakończenie w bardzo skrótowej już formie Stanek kreśli losy byłych jeńców Lamsdorf po wyzwoleniu ich z niemieckiej niewoli. Dobrze uzupełnienie tekstu stanowią ilustracje dokumentujące zarówno warunki życia, jak różne aktywności jeńców.

Niewątpliwym mankamentem publikacji (nie tylko zresztą tej!) jest brak indeksu nazwisk. Na kartach tej książki pojawia się przecież wiele postaci. Prócz tego przy sporządzaniu indeksu uniknięto by niektórych nieścisłości, jak np. przypisanie Emilowi Kumorowi imienia Edward (s. 71).

Generalnie rzecz ujmując, otrzymaliśmy istotną pozycję sumującą dotychczasowy stan wiedzy na temat jednego z fragmentów popowstaniowych losów sporej części powstańców warszawskich. Jest ona przy tym ujęta tak, iż sięgać po nią będą zarówno profesjonalni badacze, jak i miłośnicy historii.

Marek Ney-Krwawicz
Warszawa

Przemysław Benken, *Tajemnica śmierci Jana Rodowicza „Anody”*, Warszawa 2016, Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, ss. 256

W 2016 r. ukazała się monografia Przemysława Benkena, pt. *Tajemnica śmierci Jana Rodowicza „Anody”*, która stanowi zarazem kolejną pozycję na rynku wydawniczym poświęconą Janowi Rodowiczowi – żołnierzowi Szarych Szeregów oraz batalionu Armii Krajowej „Zośka”¹. Autor – pracownik naukowy Oddziałowego Biura Badań Historycznych Instytutu Pamięci Narodowej w Szczecinie – ma w dorobku naukowym monografie poświęcone historii Polski w okresie stalinowskim oraz II wojnie indochińskiej².

Recenzowana praca składa się ze wstępu, trzech rozdziałów, zakończenia, aneksu źródłowego, streszczenia w języku angielskim, wykazu skrótów, bibliografii i indeksu osób. We wstępie autor monografii nakreślił tło historyczne związane z działaniami komunistycznej władzy wobec weteranów Zgrupowania AK „Radosław” i politycznych okoliczności, w jakich przyszło im żyć w powojennej Polsce. Opisał także przebieg procesu badawczego i źródła wykorzystane do napisania publikacji. Uczynił to w metodyczny sposób, wyjaśniając, co chciał zbadać, w jaki sposób podchodził do źródeł, jak odniósł się do istniejącego stanu badań. Autor stwierdził, że „Celem [...] jest zaprezentowanie tajemniczych okoliczności śmierci Jana Rodowicza, która nastąpiła 7 stycznia 1949 r. w okolicach budynku Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego przy ul. Koszykowej w Warszawie. Publikacja ta to pierwsza szczegółowa monografia naukowa poświęcona tym zagadnieniom” (s. 7). Tak postawionemu celowi badawczemu odpowiada treść kolejnych trzech rozdziałów.

Pierwszy z nich dotyczy postaci związanych z badanym zagadnieniem: aresztowanego przez Urząd Bezpieczeństwa 24 XII 1948 r. Rodowicza i jego działalności w czasie II wojny światowej (walka z okupacją niemiecką) i po jej zakończeniu (w ramach tzw. drugiej konspiracji); mjr. UB Wiktora Herera (p.o. naczelnika Wydziału IV Departamentu V MBP, który podpisał nakaz aresztowania „Anody”); tajnych informatorów UB o pseudonimach „Górnik”, „Odwet” i „Zaręba”, ulokowanych w środowisku weteranów batalionu AK „Zośka” (wchodzącego w skład Zgrupowania AK „Radosław”). Autor opisał także kwestię tzw. sprawy „Zośki” prowadzonej przez komunistyczny aparat bezpieczeństwa na przełomie lat 1948–1949 wobec weteranów Zgrupowania AK „Radosław”.

W rozdziale II Benken przeanalizował hipotezy dotyczące śmierci Rodowicza, do których zaliczył „śmierć przez zastrzelenie, umyślne pobicie ze skutkiem śmiertelnym, nieumyślne pobicie ze skutkiem śmiertelnym, skatowanie po nieudanej próbie ucieczki i skok samobójczy wymuszony przebiegiem śledztwa” (s. 5). W podsumowaniu rozdziału autor monografii stwierdził, iż najbardziej prawdopodobnymi hipotezami dotyczącymi śmierci „Anody” były: „Nieumyślne pobicie ze skutkiem śmiertelnym i skok samobójczy wymuszony przebiegiem śledztwa” (s. 160). Równocześnie zaznaczył, że nie można ich traktować jako niepodważalnych.

¹ Por. P. Lipiński, *Anoda. Kamień na szaniecu*, Warszawa 2015; M. Olczak, *Jan Rodowicz „Anoda”. Życie i śmierć bohatera „Kamieni na Szaniec”*, Warszawa 2015; B. Wachowicz, *Ułan Batalionu „Zośka”. Gawęda o Janku Rodowiczu „Anodzie”*, Warszawa 2015.

² Por. m.in.: P. Benken, *Ofensywa Tet 1968*, Warszawa 2010; idem, *Ap Bac 1963*, Warszawa 2011; idem, *Ofensywa Wielkanocna 1972. Kulminacyjny punkt wojny wietnamskiej*, Oświęcim 2012; idem, *Wypadki gryfickie 1951*, Szczecin 2014; idem, *Ofensywa Tet 1968. Studium militarno-polityczne*, Szczecin 2014; idem, *Hamburger Hill 1969*, Warszawa 2016.

Ostatni rozdział odnosi się do losów funkcjonariuszy UB (mjr. W. Herera³, por. Bronisława Kleiny oraz płk Julii Brystygier) i tajnych informatorów UB (o pseudonimach „Górnik”, „Odwet”, „Zareba”).

Analizując poszczególne aspekty procesu badawczego, należy docenić szeroki zakres kwerendy źródłowej, którą przeprowadził Benken. Wykorzystał materiały zgromadzone w Archiwum Akt Nowych w Warszawie, Archiwum Historii Mówionej Muzeum Powstania Warszawskiego, Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej, Archiwum Muzeum Powstania Warszawskiego, Archiwum Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych oraz prywatne zbiory udostępnione przez Agnieszkę Pietrzak⁴. Ponadto autor skorzystał ze źródeł niepublikowanych, takich jak relacje świadków (w postaci maszynopisów) będące w posiadaniu rodziny Rodowiczów, a których kopie otrzymał dzięki uprzejmości A. Pietrzak. Kolejnym źródłem były wywiady z członkami batalionu „Zośka”, np. z kpt. Henrykiem Kończykowskim „Haliczem”, który udzielił informacji na temat sposobu prowadzenia przesłuchań (sam był im poddawany) przez funkcjonariuszy UB (s. 80–81, 102).

Po lekturze monografii można stwierdzić, iż Benken przeprowadził własne badania bez ograniczania się wyłącznie do zebrania i przestudiowania znanych już źródeł i relacji świadków. Potwierdzeniem tego jest ustalenie personaliów tajnych informatorów UB o pseudonimach „Górnik” i „Odwet” (s. 13–14) oraz dotarcie do materiałów archiwalnych, które pozwoliły zweryfikować relacje Leonardy Rodowicz (zatrudnionej w Centralnym Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych) na temat zetknięcia się przez nią w 1969 r. z teczkami dotyczącymi śledztwa wobec „Anody” (s. 15, 115). Autor wykazał się w najwyższym stopniu krytyczną analizą źródeł, np. badając donosy i informacje od tajnego współpracownika o pseudonimie „Górnik” oraz wyjaśnienia Herera z lat dziewięćdziesiątych XX w., dotyczące przyczyn aresztowania weteranów AK – uchronienie ich przed prześladowaniami (sic!), czego nie potwierdzają dokumenty podpisane przez Herera w 1949 r. (s. 45, 82–83, 90). Podobnie w celu weryfikacji wiarygodności relacji świadków (np. Henryka Kozłowskiego „Kmity”) Benken zapoznał się z planami i układem architektonicznym budynku, w którym mieściło się MBP (obecnie znajduje się tam Ministerstwo Sprawiedliwości) w Warszawie (s. 153). Innym przykładem są zeznania B. Kleiny z 1992 r., do których autor podszedł w krytyczny sposób poprzez skonfrontowanie ich z informacjami zawartymi m.in. w deklaracji członkowskiej Związku Bojowników o Wolność i Demokrację (s. 159). Wymienione zagadnienia aktualizują i poszerzają posiadaną wiedzę na temat okoliczności śledztwa i śmierci J. Rodowicza. Do wspomnianych informacji nie dotarli inni autorzy poruszający kwestie związane ze śmiercią „Anody”, co przemawia na korzyść warsztatu badawczego Benkena.

Autor wykazał się odwagą badawczą, ujawniając personalia tajnych informatorów UB przy równoczesnej próbie dociekania, co skłoniło ich do podjęcia współpracy z komunistami. Można uznać, iż w niektórych częściach monografii podjął się analizy o charakterze interdyscyplinarnym. Na s. 34–35 przeprowadził krótką analizę osobowości Herera. Podobnie na s. 41–45 zamieszczona została analiza osobowości tajnego informatora UB „Górnik”, który przeszedł ewolucję od patrioty do współpracownika

³ Por. idem, *Od „utrwalacza władzy ludowej” do roli doradcy Solidarności – zmienne koleje losu profesora Wiktora Herera*, w: *Granice kompromisu. Naukowcy wobec aparatu władzy ludowej*, red. P. Franaszek, Warszawa 2015, s. 100–124.

⁴ Por. A. Pietrzak, *Żołnierze Batalionu Armii Krajowej „Zośka” represjonowani w latach 1944–1956*, Warszawa 2008.

komunistycznego aparatu bezpieczeństwa. W tym miejscu należy jednak zauważyć, iż P. Benken nie wskazał jednoznacznie w swojej monografii, który z tajnych informatorów UB („Górnik”, „Odwet” czy może „Zaręba”) poprzez przekazywane informacje „przełał czarę goryczy”, przyczyniając się do decyzji o aresztowaniu „Anody”. Z racji faktu, iż wiele źródeł nie zachowało się lub zaginęły na przestrzeni lat, słuszne może być obarczenie winą grupy donosicieli UB, których działania łącznie przyczyniły się do uwięzienia J. Rodowicza.

Mocną stroną monografii stanowi to, iż autor unikał czarno-białego podejścia do środowiska weteranów batalionu „Zośka” oraz tajnych informatorów UB. W swojej książce pokazał, że do współpracy z komunistyczną bezpieką skłaniały ludzi różne przesłanki, które z perspektywy lat mogą być błędnie oceniane ze względu na zbyt wąskie interpretowanie uwarunkowań okresu powojennego w Polsce (s. 76). Świadczy to o dojrzałości badawczej autora.

Monografia cechuje się wysokim poziomem od strony metodycznej i metodologicznej. Autor wyjaśnił metodykę pracy UB oraz związane z nią pojęcia, takie jak „literatka”, „karzec” (określany również jako „psia buda”), „proces kiblowy” itp. Wspomniał także o brutalnych metodach przesłuchań oraz perfidnych działaniach wpływających na psychikę więzionych weteranów AK, np. wmawianie aresztantom, iż krzyki za ścianą pochodziły od ich matek lub żon (s. 37, 38, 57, 151). Przemawia również za tym analiza procesu werbunkowego tajnego informatora „Zaręby”. Inną kwestią jest szczegółowe przeanalizowanie procesu zbierania informacji przez bezpiekę, której funkcjonariusze posiadali wiedzę na temat działalności weteranów batalionu „Zośka” w latach 1945–1947 (m.in. na temat ukrycia broni z czasu II wojny światowej) (s. 41–76). O profesjonalnym podejściu do badanej tematyki świadczy wykorzystanie literatury metodycznej dotyczącej sposobu badania dokumentów, stworzonych przez komunistyczną bezpiekę, których nie można przecież czytać w literalny sposób. Autor wykazał się znajomością literatury w tym względzie, powołując się na publikacje takich autorów, jak m.in. Tomasz Balbus, Filip Musiał⁵, Krzysztof Brzechczyn⁶, Antoni Dudek i Zdzisław Zblewski⁷.

Godne uznania jest również przywołanie przez Benkena cytatów z klasyków sowieckiej teorii prawa i sądownictwa (np. Andrieja Wyszyńskiego – prokuratora generalnego ZSRS), które pokazywały absurdalność komunistycznego „wymiaru sprawiedliwości”. Dzieła takich osób stanowiły wyznacznik postępowania dla funkcjonariuszy komunistycznej bezpieki i sądownictwa w okresie stalinowskim⁸.

⁵ T. Balbus, *Badanie dokumentacji komunistycznego aparatu represji I (UBP, Informacji Wojskowej, Milicji Obywatelskiej). Wybrane aspekty źródłoznawcze*, w: *Wokół teczek bezpieki – zagadnienia metodologiczno-źródłoznawcze*, red. F. Musiał, Kraków 2006, s. 193–212; F. Musiał, *Jak badać akta Urzędu/Śłużby Bezpieczeństwa „ludowej” Polski? Kilka uwag źródłoznawczych*, „Aparat Represji w Polsce Ludowej 1944–1989” 2014, nr 1 (12); idem, *Wiązanie tajnych współpracowników z organami bezpieczeństwa Polski Ludowej. Przyczynek do dyskusji nad mechanizmami psychicznego manipulowania konfidentami*, „Aparat Represji w Polsce Ludowej 1944–1989” 2006, nr 2 (4).

⁶ K. Brzechczyn, *Problem wiarygodności teczek i opartej na nich narracji historycznej. Kilka uwag metodologicznych*, „Pamięć i Sprawiedliwość” 2012, nr 2 (20).

⁷ A. Dudek, Z. Zblewski, *Materiały operacyjne służb specjalnych PRL jako źródło historyczne. Uwagi metodologiczne*, w: *Wokół teczek bezpieki...*, s. 213–220.

⁸ Por. A.J. Wyszyński, *Teoria dowodów sądowych w prawie radzieckim*, tłum. J. Litwin, L. Schaff, Warszawa 1949.

Jak już wspomniałem, Benken napisał w rozdziale II, iż najbardziej prawdopodobnymi hipotezami dotyczącymi śmierci „Anody” były „Nieumyślne pobicie ze skutkiem śmiertelnym i skok samobójczy wymuszony przebiegiem śledztwa” (s. 160). Analizę tychże hipotez autor przeprowadził bardzo szczegółowo – można stwierdzić, iż Benken wcielił się w rolę detektywa-śledczego (w pozytywnym znaczeniu), który badał wszelkie wątki i poszlaki oraz wskazywał na wykluczające się informacje, porównując poszczególne założenia. Autor zwrócił uwagę, że najbardziej spójna była wersja o skoku samobójczym, choć można w niej wykazać braki. Wspomniana hipoteza pozwala jednocześnie w największym stopniu zweryfikować ją z dostępnymi źródłami historycznymi. Ponadto możliwość dokonania samobójstwa wpisywała się w etykę środowisk patriotycznych i żołnierzy AK z lat 1939–1945 w sytuacjach, w których nie byli w stanie zachować tajemnicy w trakcie brutalnych i okrutnych śledztw (s. 155, 158).

Zapoznając się z treścią monografii, można dostrzec zapał badawczy P. Benkena, który analizował praktycznie każdy wątek historii związanej ze śmiercią „Anody”, porównywał źródła archiwalne, odnosił je do relacji żyjących świadków, zabiegał o dostęp do świadectw znajdujących się w zbiorach prywatnych dotyczących niezżyjących już ludzi. Przykładem godnej pochwały staranności były podjęte przez badacza próby związane z dotarciem do Apolonii Andziak, sekretarki W. Herera w okresie, kiedy pracował on w MBP. W tym celu autor skorzystał z bazy PESEL-NET, która wskazała, iż wspomniana osoba była zameldowana w budynku dawnego Domu Weteranów i Ruchu Robotniczego w Warszawie, podlegającego w przeszłości KC PZPR. Obecnie mieści się tam Dom Lekarza Seniora. Korespondencja z obecnymi zarządcami budynku pozwoliła ustalić, że A. Andziak nie mieszka tam aktualnie i również nie przebywała tam w ciągu ostatnich kilkunastu lat (s. 157–158). Ten przykład uwiadczenia, w jaki sposób autor zaangażował się w rzetelne przeprowadzenie procesu badawczego, którego owoc stanowi recenzowana monografia.

W trakcie lektury czytelnikowi może wydawać się, iż rozdział III jest zbędny, gdyż zawiera prezentację dalszych życiorysów funkcjonariuszy i tajnych informatorów UB. To jednak złudzenie, ponieważ dzięki temu można było przeanalizować i ocenić wiarygodność zeznań złożonych po 1989 r. przez Herera i Kleinę, dotyczących śmierci J. Rodowicza.

Warto na koniec zwrócić uwagę na aneks źródłowy zamieszczony na ostatnich stronach monografii. Autor zawarł w nim istotne materiały z punktu widzenia prezentowanych treści. Należą do nich m.in. relacje W. Herera znajdujące się w zbiorach A. Pietrzak, treść informacji przekazanych podczas śledztwa UB przez J. Rodowicza, protokoły przesłuchań „Anody” z 24 i 29 XII 1948 r. oraz protokoły przesłuchań byłych funkcjonariuszy UB (Herera i Kleiny), sporządzone w 1992 r. (s. 188–219).

Dodatkowo treść książki wzbogacają umieszczone na końcu fotografie i skany dokumentów. Znajdują się tam zdjęcia Rodowicza z różnych okresów jego życia, skany rozkazu zatrzymania podpisanego przez Herera, skany protokołów przesłuchań „Anody”, zdjęcia funkcjonariuszy UB oraz współczesne zdjęcia budynku, gdzie mieściło się MBP (wykonane przez P. Benkena). Szczególną uwagę należy zwrócić na fotograficzną dokumentację pomieszczenia i okna na czwartym piętrze, z którego mógł wyskoczyć (lub został wyrzucony) J. Rodowicz (s. 240–256).

Niestety, w pracy autor nie ustrzegł się pomyłek i literówek. Na s. 8 w przypisie 2 odnosi się do przemówienia przed MS, podając, że wygłosił je Jan Nowakowski „Tomek” – błędnie zostało podane imię, ponieważ chodziło o Jakuba Nowakowskiego

„Tomka” (weteran Zgrupowania „Żniwiarz” i batalionu „Zośka”)⁹ (s. 8). Na s. 80 czytamy: „[...] członka Komisja Sekretariatu Biura Politycznego”, a powinno być: „[...] członka Komisji Sekretariatu Biura Politycznego” (s. 80). Na s. 122 znajduje się błąd w zapisie imienia: „Jania” zamiast „Jana” (s. 122). Podobny błąd jest na s. 252: podpis pod zdjęciem brzmi: „Porucznik Bolesław Kleina” zamiast „Porucznik Bronisław Kleina” (s. 252).

Jak celnie zauważa P. Benken, już samo pozbawienie wolności J. Rodowicza stanowiło przestępstwo i doprowadziło do jego śmierci. Polski wymiar sprawiedliwości po 1989 r. nie potrafił wykazać dostatecznego zaangażowania w wyjaśnienie śmierci „Anody” i osądzenia winnych, którzy do tego doprowadzili – świadczyło o tym choćby to, iż przesłuchania byłych funkcjonariuszy UB miały bardzo powierzchowny charakter, a przesłuchiwanym otrzymano status świadków zamiast podejrzanych (s. 160–162).

Monografia Przemysława Benkena wnosi wiele do stanu badań odnoszących się do najnowszej historii Polski. Stanowi istotne i nieodzowne uzupełnienie wydanych do tej pory publikacji dotyczących J. Rodowicza – przemawia za tym m.in. szczegółowe przeanalizowanie toku śledztwa, jakiemu został poddany przez funkcjonariuszy UB „Anoda” oraz hipotez dotyczących jego śmierci¹⁰. Autor na przykładzie Jana Rodowicza ukazał, jak funkcjonariusze komunistycznego aparatu władzy (w większości przypadków wywodzący się z przedwojennych nizin społecznych i komunistów) zwalczali działaczy podziemia niepodległościowego pochodzących z przedwojennej inteligencji. Monografię będącą przedmiotem niniejszej recenzji można z całą pewnością polecić czytelnikom, licząc, że zaspokoi ich ciekawość i odpowie na rodzące się pytania o okoliczności śmierci bohatera AK i tzw. drugiej konspiracji J. Rodowicza „Anody”.

Arkadiusz Krawcewicz
Szczecin

Michał Lubina, *Pani Birmy. Aung San Suu Kyi. Biografia polityczna*, Warszawa 2015, Wydawnictwo Naukowe PWN, ss. 706

Postać krakowskiego politologa Michała Lubiny, obecnie najwybitniejszego polskiego znawcy dwudziestowiecznej i współczesnej Birmy, opisywałem tu niedawno („Dzieje Najnowsze” 2014, nr 4), recenzując inną jego książkę¹. Obecnie zajął się on głębiej postacią dla tego kraju ikoniczną – Aung San Suu Kyi, pokojową noblistką z roku 1991 i przywódczynią głównej partii opozycyjnej (Narodowa Liga na rzecz Demokracji – NLD). Już we wstępie autor przyznaje się do fascynacji swoją bohaterką, której ocenę, jak przyznaje, nieraz rewidował: zaczęło się od bezkrytycznego uwielbienia dla „birmańskiego Gandhiego”, dalej było odrzucenie Aung San Suu Kyi jako naiwnej, niezbyt orientującej się w realiach swej ojczyzny idealistki zachłyśniętej Zachodem,

⁹ Por. *Jakub Tomasz Nowakowski*, <http://www.1944.pl/archiwum-historii-mowionej/jakub-tomasz-nowakowski,1380.html> (dostęp: 21.01.2017).

¹⁰ Por. P. Benken, *Recenzja książki Mariusza Olczaka, Jan Rodowicz „Anoda”. Życie i śmierć bohatera „Kamieni na szaniec”, Warszawa 2015, ss. 550, „Pamięć i Sprawiedliwość” 2015, nr 1 (25), s. 356–361.*

¹ M. Lubina, *Birma*, seria: „Historia państw świata w XX i XXI w.”, Warszawa 2014.

zaś obecny etap to zrozumienie, że „pani Birmy” rzucona jako działaczka w 1988 r. na głęboką wodę po pierwszych, nieskoordynowanych ruchach bardzo szybko nauczyła się świetnie pływać, a jej późniejsze decyzje mają na ogół istotne polityczne uzasadnienie. „Zawsze byłam politykiem” (s. 158) – powiedziała ona Lubinie w jednym z wywiadów i tego się autor trzyma; Aung San Suu Kyi z jego biografii to wspaniałe zwierzę polityczne, które dąży do zdobycia władzy w Birmie lub – w niesprzyjających okolicznościach – przynajmniej do pozostania na ringu, wyciskając wszystkie soki z nader niewielkich możliwości, jakie stwarza jej obecne położenie kraju. Interpretacje skłonne postrzegać ją przede wszystkim jako działaczkę na rzecz praw człowieka, demokratyzacji i wolności, czy wręcz jako „żeńską *bodhisattwę*” kierującą się ideałami buddyzmu, są zaś po prostu fałszywe (choć nie całkiem można za to winić tych, którzy je głoszą lub głosili, bo sama zainteresowana walnie przyczyniła się do propagowania takiego obrazu swojej osoby). Tę główną tezę książki Lubina udowadnia na wielu poziomach i nie wydaje się ona do obalenia.

Pod względem narracji – potoczystej, lekkiej, ale bynajmniej nie omijającej szczegółów i niuansów – oraz jakości badań nad osobą swej bohaterki dzieło to wpisuje się w lepsze tradycje polskiej biografistyki historycznej, budząc skojarzenia np. z wyborną biografią Dmowskiego pióra Krzysztofa Kawalca (świeżo wznowioną)². Pisarstwo historyczne Lubiny bardzo dojrzało w ciągu zaledwie dwóch lat, jakie upłynęły od wydania poprzednio recenzowanej przeze mnie pracy. Już tam niezły styl literacki autora jeszcze się poprawił, oceny poszczególnych aktorów sceny dziejów są na ogół głębsze, bardziej wyważone i oparte na mocniejszym fundamencie źródłowym, fakty opisywane z wielką rzetelnością, wspomniane przeze mnie wady – popędliwość sądów, skłonność do ostrego atakowania nielubianych przez siebie osób i prądów intelektualnych, okraszona szeregiem radykalnych epitetów, daleko idące moralizatorstwo, osobliwe i niezwiązane z tematem dygresje – w jakiejś mierze pozostały, ale jakby uległy redukcji, nie jawią się tak agresywnie i mniej rzucają się w oczy. Tak szybkie tempo rozwoju naukowego budzi podziw oraz uznanie, podobnie jak baza źródłowa książki.

Autor wykorzystał bodaj wszystkie ważne prace anglojęzycznej historiografii poświęcone swej bohaterce i zdekolonizowanej Birmie w ogóle, charakteryzując każdą z nich krótko, lecz wymownie. Doskonale zna portale internetowe (w warunkach Birmy, gdzie tradycyjne media kontroluje rząd, to źródło informacji równie ważne co dla PRL Radio Wolna Europa!) i zachodnie gazety, digitalizacja organu prasowego junty „Nowe Światło Mjanmy” pozwoliła mu wykorzystać także ten tytuł. Na szczególne podkreślenie zasługuje jego wnikliwość badawcza: pisząc pracę, autor zgłębił nie tylko prace dotyczące samej Birmy, ale też kwestie poboczne – zna miejscowe realia, umie weryfikować drobne informacje napotymane w źródłach przy użyciu map, wyszukiwarek, encyklopedii i własnej głowy, zajrzał nawet do prac pióra niedoszłego chłopaka Aung San Suu Kyi z czasów oxfordzkich czy książek Michaela Arisa o Bhutanie i Tybecie. Za stopień wykorzystania źródeł pisanych przyznaję z radością szóstkę. Nie gorzej jest z ustnymi. Lubina dwukrotnie przeprowadził obszernie rozmowy z samą Aung San Suu Kyi, dotarł też do wielu aktywnych politycznie Birmańczyków, zarówno obecnych i byłych współpracowników *Lady* (tak obiegowo zwie się bohaterkę jego dzieła), jak i jej przeciwników, zadając im – o ile mógł sobie na to pozwolić – nader celne pytania. Nie dziwi, że krótko po ukazaniu się książki

² K. Kawalec, *Roman Dmowski*, Poznań 2016 (wyd. 1, 2000).

autorowi zaproponowało współpracę renomowane brytyjskie wydawnictwo naukowe Routledge; może doczekamy się edycji anglojęzycznej?

W początkowych rozdziałach pracy autor zapoznał czytelnika z birmańskimi realiami: opisał zwięźle przedkolonialną monarchię, następnie rządy brytyjskie i rosnący przeciw nim opór. Służy to oczywiście płynnemu wprowadzeniu na scenę ojca Aung San Suu Kyi – Aung Sana, jednego z liderów birmańskiego ruchu na rzecz niepodległości, któremu śmierć (1947) przed odzyskaniem tejże (1948) nadała ostatecznie status legendarnego odnowiciela państwa. Nie pozostało to bez wpływu na pozycję społeczną wdowy po nim, Khin Kyi, która czasem politycznie, a zawsze towarzysko pozostawała w kręgu najważniejszych ludzi władzy birmańskiej. W tej atmosferze wyrastała trójka jej surowo wychowywanych dzieci (oprócz Suu Kyi był to jej starszy brat Oo i młodszy Lin, który utopił się, mając 8 lat), nasiąkając sposobem myślenia postkolonialnych elit birmańskich – mających się za coś lepszego od zwykłych śmiertelników niczym dawni brytyjscy panowie, ale też bliskich tym ostatnim manierami, horyzontami i paradoksalnie formacją kulturową. Aung San Suu Kyi, tłumaczy Lubina – jest epigonką tej grupy, bez dwóch zdań znającej i czującej świat zachodni nie gorzej niż samą Birmę, a pewnie nawet lepiej niż birmański interior czy kulturę miejscowych mniejszości.

Rządy owych elit, z których wciąż pamiętani są zwłaszcza ostatni demokratyczny premier Birmy U Nu oraz jego bliski przyjaciel U Thant, przez lata (1961–1971) sekretarz generalny ONZ, ostatecznie zakończył drugi zamach stanu (1962) gen. Ne Wina, reprezentującego całkiem inną twarz kraju – ksenofobiczną, pełną odziedziczonych po czasach kolonialnych antyzachodnich uprzedzeń, wierzącą głównie w siłę. Być może wpłynęło to na decyzję Aung San Suu Kyi, w tym czasie uczącej się do matury w *college'u* w Delhi (jej rodzicielka była tam ambasadorką), by nie wracać do ojczyzny, lecz podjąć studia na Oxfordzie. Nie bardzo umiejąc znaleźć sobie po nich miejsce w życiu – krótkotrwała „nudna praca biurowa” (s. 123) w ONZ jej nie satysfakcjonowała, w dyktatorskiej Birmie nie widziała dla siebie przyszłości, a próby kontynuowania kariery naukowej spaliły na panewce – czasowo ograniczyła swoje ambicje do roli matki i żony profesora Oxfordu. Był nim adorujący ją od lat Michael Aris, znakomity badacz buddyjskich krajów himalajskich, za którego w końcu wyszła w 1972 r. Już na etapie narzeczeństwa nadmieniła mu jednak w liście, iż być może pewnego dnia rozdzielią ich „kwestie narodowe”, za sprawą których przyjdzie jej spełnić „obowiązek” wobec „moich ludzi” (s. 124). Zważywszy jednak, że wspomniany list nie został opublikowany w całości, a reszta korespondencji (setki, jeśli nie tysiące stron) wymienianej między Aung San Suu Kyi i Arisem w tym okresie pozostaje niedostępna dla badaczy, trudno powiedzieć, byśmy znali szerszy kontekst owych słów.

Kwestie narodowe dały o sobie znać, gdy w 1988 r. bohaterka książki udała się do Rangunów celem opieki nad chorą Khin Kyi. Niespodziewanie dla samej siebie znalazła się w oku cyklonu – w tym właśnie czasie niejasna do dziś decyzja Ne Wina o ustąpieniu wyprowadziła na ulice tysiące ludzi domagających się przemian. Płomienne przemówienia wygłaszane przez Aung San Suu Kyi w połączeniu ze statusem córki Aung Sana dały jej dość szybko przywództwo w ruchu, choć byli inni kandydaci, jak U Nu (reanimował on wtedy swój rząd sprzed zamachu stanu w 1962 r. – Aung San Suu Kyi to wyśmiała i pociągnęła za sobą większość protestujących, nie rozumiejąc, że mająca pewną legitymację grupa negocjacyjna z ich ramienia daleko lepiej poradziłaby sobie ze skłonieniem wojska do ustępstw niż zanarchizowane

masy³). Z jednej strony żądając wygnania Ne Wina z kraju i grożąc oficerom sądem historii, z drugiej (o czym wolała potem nie wspominać) próbując się z niektórymi po cichu porozumieć, nowa liderka opozycji doczekała się w końcu utopienia ruchu we krwi. Pozostała jej popularność wśród Birmańczyków i coraz bardziej znana na Zachodzie legenda, którą głosił wszem i wobec niestrudzony Aris. Wkrótce zaowocowała ona pokojowym Noblem.

Gorzko zdystansowany jest Lubinowy opis wręczenia Arisowi (zastępującemu żonę) tej nagrody i wygłaszanych wówczas, zgodnych z klimatem epoki, twierdzeń o nieuchronności demokracji, której wicher mieli jakoby czuć każdy dyktator oraz każde społeczeństwo globu. Do tego, rzecz jasna, dochodziła ignorancja co do realiów birmańskich, aczkolwiek Aung San Suu Kyi sama ją podsyciała tam, gdzie politycznie było to dla niej wygodne. Aung Sana przedstawiała np., ogromnie naginając fakty, jako wielkiego demokratę, a swoją polityczną konfrontację z juntą sprzedawała na Zachodzie jako odbicie buddyjskiego światopoglądu społeczeństwa, nastawionego na pokój (w Birmie?!), i wspomaganie innych w osiąganiu oświecenia. Skutecznie i rozmyślnie wmawiając Pierwszemu Światowi, iż jej polityczna walka ma przede wszystkim wymiar duchowy, że chodzi o zastąpienie zła, wyzysku i kultu siły przez dobro, moralność i współpracę, wykreowała się na ikonę, przy okazji zyskując ważne atuty w rozgrywce z generalicją. Jej autorytet na świecie urósł tak bardzo, że wezwanie do nałożenia sankcji ekonomicznych na Birnę, mających wymusić na juncie polityczne ustępstwa, zostało potraktowane przez USA i Europę niemalże jako moralny imperatyw.

Sankcje te jednak okazały się nieskuteczne. Inspirujące Aung San Suu Kyi (jak i wielu innych obserwatorów międzynarodowych przemian) przykłady agonii apartheidu i wschodnioeuropejskiego komunizmu nie dawały się porównać z *casusem* Birmy ani co do sytuacji wewnętrznej (sprawiającej, że komuniści w krajach bloku wschodniego często byli postrzegani jako „obcy” i w krytycznym momencie nie mogli liczyć na bezwarunkowe poparcie wojska), ani stosunków z sąsiadami (które w przypadku RPA były gorsze niż złe). Nieprzerwanie zyskiwała za to marka polityczna samej *Lady*, której Zachód zaczął przypisywać wizję i wpływy zdolne – gdyby zdobyła władzę – zlikwidować od ręki wszystkie problemy Birmy. Płynące z ust cenionych aktywistów stwierdzenia w rodzaju „Suu Kyi jest żywym symbolem *Deklaracji praw człowieka*”. Jeśli przejmie władzę, natychmiast znikną tortury, zniknie siedemdziesiąt tysięcy dziecięcych żołnierzy, a handel narkotykami zostanie utracony” (s. 330) czyta się obecnie niczym prognozy z *Potwornego wujaszka* K.I. Gałczyńskiego, tyle że jeszcze zabawniejsze, bo głoszone na poważnie. Z drugiej strony wyroki takie łatwo ferować z dystansu: „arabską wiosnę” też początkowo wielu z nas brało za dowód, że cały świat, choć w różnym tempie, zmierza ku demokracji i wolności w nieuchronny sposób.

Kolejne lata upłynęły Aung San Suu Kyi pod znakiem szeregu nieskutecznych – choć już dojrzałych pod względem politycznej strategii – prób wyrwania choćby części władzy z rąk junty; demonstrowała przy tym upór i bezkompromisowość, nie godząc się nawet na krótki wyjazd do Wielkiej Brytanii w celu spotkania z umie-

³ To, dodajmy, mój wniosek, a nie Lubiny, który przedstawił w książce zdanie dokładnie odwrotne – składając krok U Nu na rzecz typowo birmańskich tendencji do frakcyjności związanych z prywatnymi urazami. Co więcej, opisał całą inicjatywę jako bez mała kaprys zdziaźdźiałego staruszka (ur. 1906), który „uznał, że życie zaczyna się po osiemdziesiątce” (s. 170, 172).

rającym na raka Arisem, słusznie podejrzewając, iż generałowie nie wpuściliby jej już z powrotem. Na przemian osadzana w areszcie domowym i wypuszczana zeń, najdłuższy w nim pobyt rozpoczęła po tzw. masakrze w Depayin (30 V 2003); bojówkarze związani z władzą napadli tam na działaczy i zwolenników NLD, z ich szefową włącznie, zabijając ok. stu osób. Samą Aung San Suu Kyi uratował przytomny kierowca, który przebił się autem przez napierającą cizbę, a ponoć także Khin Nyunt, jeden z bardziej umiarkowanych generałów w juncie i szef tajnych służb, który w następnych dniach miał ją wedle własnych wspomnień aresztować po to, by... ocalić jej życie – zważywszy, że masakrę prawdopodobnie firmował jego zwierzchnik gen. Than Shwe. Jak by nie było, władze nie omieszkały oskarżyć NLD o agresję wobec sił prorządowych i Aung San Suu Kyi nie opuściła już swego domu do 2010 r. Pretekstu do przedłużania aresztu dostarczył juncie ekscentryczny Amerykanin John Yettaw, który dwukrotnie (!) przedostał się do willi *Lady*, przepływając położone przy niej jezioro, chcąc zapewnić ją o poparciu świata i wręczyć Księgę Mormona; tym sposobem Aung San Suu Kyi można było skazać za goszczenie obcokrajowców, czego jej warunki odosobnienia zabraniały.

„Birmańska odwilż” z 2011 r., początkowo postrzegana jako przełom analogiczny do przemian np. w Polsce roku 1989, okazała się czymś nader odmiennym. USA i za nimi UE postawiły na współpracę z juntą, bo wobec narastającej rywalizacji z Chinami trudno już było obrażać się na rzeczywistość; wojskowi ucieszyli się z oferty, bo zbyt mocna zależność od Pekinu nie leżała w ich interesie. Otwarcie Birmy na świat i zniesienie sankcji pomogło wszystkim prócz samej Aung San Suu Kyi – Zachód i wojskowi mogli robić zyskowne interesy, a poziom życia Birmańczyków zdecydowanie się podniósł. Junta opłaciła to pewną dawką hipokryzji i kosmetycznymi ustępstwami – przeznaczeni na odcinek władz cywilnych wojskowi przestali chodzić w mundurach, zatrudnili amerykańskich speców od propagandy i zaczęli zachowywać rudymen tarne pozory demokracji wielopartyjnej. W tych warunkach *Lady* uznała, że musi zerwać z nieprzejednaniem, stając do następnych wyborów (poprzednie NLD zbojkotowała); kompromis ten opłaciła jednak także kolejnymi ustępstwami, w tym włączeniem do publicznie wyrażanych opinii absurdalnego zwrotu „lubię armię”. W jej przekonaniu był to wszelako jedyny sposób, by wyrwać się z politycznego marginesu i zdobyć realną władzę. Opis wyzwań czekających na Aung San Suu Kyi w wyborach i po nich (praca ukazała się w październiku 2015 r. – miesiąc przed głosowaniem) zamyka narrację Lubiny.

Autor aktualizował książkę prawie do ostatnich chwil przed skierowaniem jej do druku, by przedstawić bieżącą sytuację w Birnie. Myślę, że nie będzie więc nadużyciem, jeśli w recenzji omówię również poglądy Lubiny wyrażane w licznych artykułach i felietonach, a dotyczące rozwoju wydarzeń po owych wyborach. Przypomnijmy, że NLD odniosła w nich druzgocące zwycięstwo, zaś jej przywódczyni natychmiast zaczęła dążyć do tak dalece idącej władzy, jak tylko w tych warunkach można – co Zachód przyjął nie bez konsternacji⁴. Ostatnim – w momencie pisania niniejszego tekstu – głosem Lubiny w tej sprawie jest pełna złości relacja⁵ z międzynarodowej

⁴ Por. np.: <http://polska-azja.pl/m-lublina-czlowiek-orkestra-czyli-cztery-ministerstwa-aung-san-suu-kyi/> (dostęp: 30 III 2016); <http://www.polska-azja.pl/m-lubina-aung-san-suu-kyi-naczelniczka-panstwa/> (dostęp: 8 IV 2016).

⁵ Zob. <http://web.archive.org/web/20160427235933/http://www.polska-azja.pl/2016/04/27/m-lubina-pomyłka-prababki-czyli-o-aung-san-suu-kyi-na-oxfordzie/> (stąd kolejne cytaty). Z oryginalnego serwisu tekst zniknął przy okazji zmiany „silnika” strony.

konferencji badaczy Azji Południowej na Oxfordzie – przypomnijmy – macierzystą uczelnią Aung San Suu Kyi (choć ta nie zapisała się w jego pamięci jako wyróżniająca się studentka, a też nie zdołała się dostać na drugi kierunek ani studia podyplomowe). Czego ta złość dotyczy?

„Ku memu zdumieniu, nie było żadnego referatu bezpośrednio bądź pośrednio odnoszącego się do Suu Kyi, zaś spotkanie wokół nowej książki o niej odwołano. Po części wynika to z charakteru zainteresowań zachodniej nauki Azją. Upraszczając ten temat-rzekę, chodzi raczej o zajmowanie się «niską» niż «wysoką» polityką (tematy referatów na konferencji: walka mieszkańców Rangun o uchronienie się przed dziką prywatyzacją; wywłaszczenia chłopów; birmańscy imigranci zarobkowi w Tajlandii; konflikt muzułmańsko-buddyjski itp.). Ale to tylko część wytłumaczenia. Bo przecież Suu Kyi nie jest zwykłym politykiem, jest «panią Birmy», «matką narodu», jej wpływ (realną bądź pozorny) na zwykłego Birmańczyka jest znacznie większy niż typowych polityków. To zaś powinno interesować nawet największych fanów «oddolnej» polityki i «czynnika ludzkiego» w badaniach społecznych. Tak jednak nie było – ilekroć temat Suu Kyi bądź NLD pojawiał się w referatach, szybko zeń schodzono.

Skoro nie usłyszałem niczego nowego o Suu Kyi z obrad, spróbowałem więc rozmów prywatnych. Tu czekało mnie jeszcze większe rozczarowanie. Ilekroć starałem się podjąć wątek Suu Kyi rozmówcy albo uciekali od niego albo byli mocno krytyczni. [...] Rozczarowuje mnie [...] fakt, że nawet na Oksfordzie ludzie zajmujący się Azją nie są w stanie wyjść poza demokratyczną ideologię, która przysłania im świat i zakłóca rozumienie zachodzących tam procesów”.

Ale to nie koniec wniosków Lubiny na temat kolegów po fachu. Zachodni uczeni z demokratyczną zaćmą na oczach i zakłóceniami rozumienia są też pogrobowcami brytyjskiego imperializmu, nawet pojawiający się wśród interlokutorów Duńczyk. „Otóż Suu Kyi, ta Birmanka z dawnej kolonii, zawiodła potomków Imperium⁶. Oni ją wykształcili, oni ją ukształtowali, oni jej Nobla załatwili. Oni ją wspierali, bo ona personalizowała ich zachodnie wartości demokratyczne i – wydawało im się – ona w imię tych wartości cierpiała i siedziała w więzieniu w starciu z okrutną, orientálną juntą. A ona tymczasem teraz, zamiast być wierna tych zasadom, zamiast pokornie robić to, co oni od niej oczekują, okazuje się pełnokrwistym politykiem dbającym o birmańskie interesy narodowe (oraz o swoje własne). Rzeczywiście, to musi być rozczarowujące!”

W zamyśle miał ten opis pokazywać jak w soczewce hipokryzję, bezmyślność oraz ignorancję zachodniego świata. I klarownie pokazuje, ale co innego – światopogląd Lubiny, który nierzadko wyciąga daleko idące wnioski z drobiazgów oraz zwykł mierzyć innych miarą własnych fascynacji i ocen; gdy ich nie podzielają, zostają z tego bezbliźnie rozliczeni.

⁶ Wątek ten jest również mocno eksponowany w samej książce: zdaniem Lubiny, podanym jako aksjomat, brytyjska admiracja wobec Aung San Suu Kyi bierze się m.in. stąd, że wywodząca się ze zwesternizowanych (choć przecież także walczących o obalenie kolonialnej władzy Albionu) elit noblistka jest „niczym spełnione marzenie o błogosławionej roli imperium brytyjskiego na Wschodzie (tą z gruntu fałszywą wizją Brytyjczycy lubią zagłuszać własne wyrzuty sumienia)” (s. 184, podobne sugestie także w innych miejscach). Abstrahując od kwestii prawdziwości czy fałszywości wspomnianej wizji, muszę przyznać, że osobiście mam tę tezę za równie karkołomną co rysowane ostatnio przez Jana Tomasza Grossa *unctim* pomiędzy wojennymi postawami Polaków wobec Żydów a współczesnymi wobec muzułmańskich uchodźców.

Tymczasem wcale nie jest tak znowu jasne, czy w kontekście dalszych losów Birmy dobre studia na temat miejscowej wsi czy konfliktów etnicznych nie okażą się ważniejsze od analiz, co ostatnio zrobiła czy powiedziała najsłynniejsza z Birmanek. Polityczna przyszłość Aung San Suu Kyi, wyutej z realnej mocy sprawczej, rysuje się raczej w czarnych barwach. Wbrew nadziejom zagranicznych dziennikarzy i części społeczeństwa birmańskiego, nie pomogło jej nawet przytłaczające – a dla generałów będące przykrym zaskoczeniem – zwycięstwo w wyborach. Konstytucja zabezpiecza wszystkie istotne uprawnienia i interesy armii, prerogatywy zaś rządu ogranicza do tego stopnia, że *Lady* zmuszona będzie działać w ramach wyznaczonych przez generalicję. O zmianie ustawy zasadniczej mowy nie ma, to bowiem wymaga poparcia ponad 75% posłów w parlamencie, tymczasem posiadaczy jednej czwartej mandatów wybiera wojsko. Prawo do interwencji w razie nadzwyczajnej konieczności wpisało ono też sobie do konstytucji; jej ewentualne złamanie przez Aung San Suu Kyi w imię demokratyzacji stanowiłoby bez wątpienia *casus belli*. Strategia opozycyjnej „niezłomności” została już przez nią przećwiczona w ciągu kilkunastu lat przed „odwilżą” i wiadomo, że nie działa. Obecne przewożenie cywilnemu rządowi już naraziło Aung San Suu Kyi na zarzut „zdrady” ze strony wielu ludzi Zachodu, a wcześniej czy później przyniesie jej też spadek popularności w Birmie (już przynosi, zob. s. 498), co bez wątpienia jej nie umyka: w jednych sferach nie ma możliwości, a w innych – pomysłów, jak zmienić kraj na lepsze. Aung San Suu Kyi nie pomoże w tym własna partia, bo jej ławka kadrowa jest nader krótka – dążąc do pełnej kontroli, pousuwano z niej wszystkich niezależnie myślących, czyli zdolnych do krytycznej refleksji, działaczy na rzecz miernych potakiewiczów. W zasadzie jedyną rokującą pewne szanse strategię stanowi gra na rozbięcie armii, poszukiwanie „dobrych generałów”, którzy będą gotowi wesprzeć szefową NLD, zdradzając własną kastę – tyle że takich nie widać, i trudno się dziwić. Co bowiem mogłaby im Aung San Suu Kyi dać w zamian za poparcie, czego już nie mają? Z pewnością nie pieniądze, przywileje czy bezkarność – to bowiem gwarantuje im akurat obecne *status quo*, którego trwanie zachowywane jest właśnie dzięki solidarności (w tej sprawie) korpusu oficerskiego. A jeśli ktoś się wylamie, może nader szybko obudzić się bez wczorajskich wpływów – o czym przekonał się w 2015 r. typowany na przyszłego szefa junty gen. Shwe Mann, którego błyskawiczna polityczna emerytura raczej nie zachęci nikogo z oficerów do budowania relacji z Aung San Suu Kyi.

Wstydliwym uzupełnieniem tego braku perspektyw jest fakt, że w nader nieprawdopodobnym przypadku całkowitego zwycięstwa Aung San Suu Kyi nad armią i tak nie wiadomo, czy cokolwiek zwojowałaby w podstawowej kwestii – zapewnienia Birmie lepszej przyszłości, czego samo odsunięcie wojska od władzy bynajmniej nie gwarantuje. Władza nad krajem to odpowiedzialność za kraj, a tej akurat Aung San Suu Kyi nigdy nie musiała ponosić i nie tylko trudno powiedzieć, czy nadaje się do tego wyzwania, ale także – czy ma na nie pomysł. Przewaga NLD nad generałami opiera się nie na programie tej partii, bo takowy trudno zdefiniować, lecz na charzmacie przywódczyni oraz fakcie, że Birmańczycy mają dość nieudolnych rządów wojska. Przejęcie władzy przez Aung San Suu Kyi nie rozwiązałoby ani problemów z mniejszościami, ani nie zlikwidowałoby biedy, a rozbudzone oczekiwania są ogromne; pouczającym *case study* jest tu sąsiedni Bangladesz, w którym dwukrotnie, w latach 1946–1947 i 1970–1971, mieszkańcy gremialnie popierali niepodległość (najpierw w ramach Pakistanu, potem na drodze niezależności od tego kraju), widząc w niej niemalże ideę mesjańską, która zlikwiduje wyzysk i opresję, przemoc władz i korupcję,

biedę i głód, a także wszelkie inne zło. Gdy szybko okazywało się, że nic z tego się nie wydarzy, ekipy rządzące w krótkim czasie stawały się obiektem powszechnej nienawiści – i taki też los mógłby spotkać Aung San Suu Kyi. To akurat nie wniosek Lubiny, a znowu mój. Sugeruje go jednak, moim zdaniem, zgromadzony w książce materiał.

Tym bardziej że o ile chude lata w opozycji nauczyły *Lady* sztuki negocjacji i kompromisu z politykami, o tyle – paradoksalnie zgodnie ze swoim przydomkiem – ewidentnie czuje się ona niepewnie, gdy zwykli ludzie, zamiast ją (jak przywykła) powszechnie adorować, stawiają żądania bez dyplomatycznych lansad. Lubina opisuje taki przypadek: stanąwszy w obliczu tłumu chłopów żądających zwrotu ziemi zabranej im pod budowę (chińskiej) kopalni miedzi, na salonach uchodząca za wcielenie dobrych manier i opanowania, Aung San Suu Kyi zaczęła im wymyślać, wdając się w agresywną „pyskówkę”, jak określiła to jedna z jej współpracownic (s. 487). Tej samej działaczce zawdzięczamy nader ciekawą refleksję: gdyby Aung San Suu Kyi po prostu przeprosiła wieśniaków za to, że nie może nic dla nich zrobić, podbiłaby ich sobie, ale do tego nie była zdolna ze względu na swe wychowanie i drogę życiową oraz fakt, że „w Birmie przełożeni się nie kają”. Lubina na ogół obszernie komentuje przytaczane przez siebie stwierdzenia, tu jednak nie dodał ani słowa. Może nie miał pomysłu, jak pogodzić tę myśl ze swym przekonaniem, że gdy polityk kłamie i zapomina o swych obietnicach, działa „jak przystało na polityka” (s. 488)?

Malujący ów czarny obraz autor, pragnąc znaleźć światełko w tunelu, sugeruje jednak, by Aung San Suu Kyi nie skreślać – ma ona tak wielki talent polityczny, że nie zdziwiłby się, gdyby jakimś cudem znalazła wyjście z politycznego okrażenia. Jak będzie, zobaczymy; obecna sytuacja w Birmie jest niewątpliwie nader dynamiczna. Niniejsza recenzja publikowana jest jednak ponad rok po sformowaniu rządu NLD – i nic nie słyhać, by jego władza przyniosła Birmie jakąkolwiek istotną zmianę.

O ile prognozy Lubiny (oraz moje) mogą się sprawdzić albo i nie, o tyle z pewnością nic nie odbierze wartości pozostałym fragmentom książki, świetnie napisanym, rzetelnym, dobrze udokumentowanym i na ogół po prostu słusznym. Warto jednak wspomnieć o drobnych wyjątkach.

Prezentując po raz pierwszy postać Michaela Arisa, autor nadmienia, że jego dziad John T. Arundel był „pionierem w przemysłowej produkcji guana” (s. 111). Lubina źle zrozumiał informację ze znakomitej biografii Aung San Suu Kyi, pióra Justina Wintle’a: guano produkują ptaki, a „pioneer of the industrial use of guano” odnosi się do jego wydobycia i eksportu w charakterze nawozu⁷.

Kontrowersyjne i moim zdaniem dalekie od prawdy jest twierdzenie, że to metody Gandhiego dały Indiom niepodległość, a on sam przy okazji „zwycięzył brytyjski kolonializm” (s. 79–80), jakkolwiek często spotyka się takie tezy w literaturze przedmiotu i poza nią. Inna sprawa, że nie jest to temat, któremu można by oddać sprawiedliwość w tym miejscu i w kilku zdaniach. W każdym razie teza taka nie tylko nie uwzględnia arcyważnych czynników zewnętrznych – osłabienia Imperium Brytyjskiego wojną, nacisku innych mocarstw, specyficznej polityki prowadzonej przez laburzystów w czasach Clementa Attlee – ale też ignoruje fakt, że znaczna część wydarzeń w Indiach, które skłaniały Albion do pośpiechu w tej sprawie, była wręcz antytezą tego, co Gan-

⁷ J. Wintle, *Perfect Hostage. A Life of Aung San Suu Kyi*, London 2007, s. 198. Więcej o Arundelu i początkach przetwórstwa guana zob. G.T. Cushman, *Guano and the Opening of the Pacific World. A Global Ecological History*, Cambridge 2013, s. 93–121. W języku polskim dostępny jest jedynie mój artykuł popularnonaukowy: *Wydaleni przez biznes. Guano*

dhi głosił (skądinąd okrutnie zmitologizowany zryw marynarzy w Bombaju w lutym 1946 r., wzajemne rzezie hinduistów i muzułmanów w tym i następnym roku). Za to lwia część jego własnych sposobów na uzyskanie niepodległości okazała się po prostu nie działać (próby politycznego rozbudzenia wiejskich mas szybko wytracały impet, rachuby na odcięcie kolonizatora od zysków dzięki wiejskiej autarkii, opartej m.in. na tkactwie ręcznym, zbankrutowały błyskawicznie, porozumienie z muzułmanami szybko się rozpadło, gdy słusznie uznali oni Kongres za znacznie większe od Brytyjczyków zagrożenie dla swych aspiracji politycznych, ruch „Do or die” z lat wojny zamiast do natychmiastowej niepodległości zaprowadził działacze Kongresu do więzień, próba bojkotu ciał parlamentarnych tworzonych przez Brytyjczyków wypełniła je rywalami Partii Kongresu, wezwania do odmowy współpracy z administracją najbardziej zaszkodziły samym Indusom, czyniąc ich jeszcze bardziej podatnymi na skutki wzajemnych waśni, starania o uczynienie wspólnoty hinduistycznej monolitem w relacjach z kolonizatorem wyalienowały wielu „niedotykalnych” postrzegających ten program jako próbę odcięcia ich przez wyższe kasty od reprezentacji politycznej, itp.). Pewnych zasług na rzecz niepodległości nie można Gandhitemu odmówić (aczkolwiek osobiście twierdzę, że były one innej natury, niż się zazwyczaj zakłada – przede wszystkim nieprzerwane starania na rzecz powstrzymywania Indusów od rozlewu krwi oszczędziły im przed wojną bardziej konsekwentnych prób Londynu, by przywrócić porządek przy użyciu karabinów – co stało się np. udziałem Kenii w wyniku ruchu Mau Mau – które zapewne opóźniłyby nadanie Indiom niepodległości, nie wspominając o tym, że ściągnęłyby na jej mieszkańców więcej cierpień), ale żeby przyznawać im znaczenie decydujące? Im dłużej zajmuję się tą tematyką, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że równie dobrze można by przypisać Janowi Pawłowi II obalenie komunizmu w Polsce siłą modlitwy.

Jeszcze jeden drobniak dotyczący Indii: na s. 243 pojawia się konfrontowany z Gandhim Subhas Chandra Bose (i to tylko pod nazwiskiem – Bose) bez żadnego wytłumaczenia, kto zacz.

W antykomunizmie nowojorskiego politologa Franka N. Tragera, jego poparciu wobec wojny w Wietnamie oraz rządu Czang Kaj-szeka na Tajwanie trudno znaleźć cię podparcia dla ciut protekcyjnego stwierdzenia, że ów niedoszły naukowy mentor Aung San Suu Kyi był „średnio sympatycznym jegomościem” (s. 115). W oczach młodej Suu Kyi, pod niektórymi względami nieodrodnej córki swej epoki i jej złudzeń, pewnie rzeczywiście byłby sympatyczniejszy, zachwycając się Ho Chi Minhem i Mao Zedongiem, o co jednak może chodzić Lubinie, pojęcia nie mam. Co gorsza, autor w pośpiechu nie doczytał artykułu z „New York Timesa”, z którego czerpał wiedzę: Trager piętnował za lewicowość nie Suharto, prawicowego dyktatora Indonezji, lecz jego poprzednika Sukarno, istotnie flirtującego z komunistami⁸.

Lubina zapomniał, że staroświeckiej anglosaskiej konwencji nazywania żony od imienia męża towarzyszy polska konwencja przekładowa. „Mrs. Michael Aris” to nie „pani Michael Aris” (s. 267), lecz „pani Michaelowa Aris” – tak jak np. w *Ani z Zielonego Wzgórza*.

Niezrozumiałe jest wypominanie Aung San Oo, że ten nie zjawiał się w Birmie podczas protestów 1988 r., choć demonstranci początkowo wyglądali właśnie jego

w dziejach krajów wybrzeża Pacyfiku 1840–1883, „Mówią Wieki” 2012, nr 1, s. 30–35.

⁸ Zob. <http://www.nytimes.com/1984/08/31/obituaries/frank-n-trager-78-an-expert-on-asia-dies.html> (dostęp: 26 VI 2017).

przywództwa jako starszego z dzieci Aung Sana i mężczyzny (s. 153–154). Może i spróbowałby przyjechać (z USA), gdyby miał cię nadziei, że zostanie wizę – a jakim sposobem mógłby ją uzyskać od reżimu w tych warunkach? Suu Kyi miała pod tym względem szczęście, bo po prostu w chwili wybuchu niezadowolenia była na miejscu. Dodajmy, że Oo wpuszczono do kraju dopiero na pogrzeb Khin Kyi i pod warunkiem, że zaraz potem wyjedzie; jego siostra zdążyła się do tego czasu stać niekwestionowaną liderką opozycji, Oo nie zagrażał już więc juncie, a nawet mógł się przydać, bo nie lubiąc Aung San Suu Kyi, nie zamierzał jej w żaden sposób wspierać.

Najbardziej jednak nieuczciwym fragmentem tej pracy zdaje mi się opis sprawy Ma Thanegi (s. 389–394). Sekretarka Aung San Suu Kyi i przez lata wierna towarzysząca *Lady* zarówno w polityce, jak i w życiu prywatnym, w latach dziewięćdziesiątych wzięła z nią rozbrat, tłumacząc publicznie, że nie jest w stanie dalej popierać uporu swej chlebobawczyni w sprawie sankcji, do których Aung San Suu Kyi wezwała Zachód – rząd i tak się wyżywi, Birma za to na odcięciu od świata traci; lepsze wyjście stanowiłby kompromis z juntą, ale do tego Aung San Suu Kyi jest niezdolna. Lubina przyznaje, że Ma Thanegi „wyprzedziła epokę” („birmańska odwilż” z 2011 r. zrealizowała dokładnie proponowany tu scenariusz), niemniej jednak ją potępia – bo gdyby Aung San Suu Kyi przystała na te propozycje, osłabłaby jej pozycja polityczna. Co więcej, autor zabrał się za analizę możliwych motywów Ma Thanegi i jakoś tak się złożyło, że przyszyły mu do głowy wyłącznie negatywne. Może przestraszona groźbami junty dała się złamać? Może pragnęła lepszego życia i ją przekupiono? A może po prostu to zła kobieta była? „Sposób, w jaki to zrobiła [wezwała do zniesienia sankcji i kompromisu – T.F.], świadczy o tym, że prawdopodobnie była albo zdrajczynią, albo «pożyteczną idiotką»” (s. 392) – stwierdził Lubina, a dwie strony dalej już nie zastanawiał się nad prawdopodobieństwem, tylko napisał o „zdradzie Ma Thanegi”. Ewentualności, że mogła mówić prawdę, tzn. chciała pomóc rodakom, nakłaniając międzynarodowe gremia do zniesienia sankcji nawet za cenę rozejścia się z dawną mentorką, autor nie uznał za stosowne choćby rozpatrzyć.

Ta ostatnia sprawa pozwala płynnie przejść do pewnego trudnego w określeniu problemu, jaki mam z tą pracą. Dotyczy on nie tyle aspektu faktograficznego czy interpretacyjnego, lecz raczej, z braku lepszego słowa, moralnego.

Realizm, a nawet gorzki cynizm Lubiny odnośnie do świata polityki – któremu, jak zwykle, towarzyszy tu agresja w stosunku do „prodemokratycznych i prawno-człowieczych aktywistów”, ale lepiej uzasadniona niż w poprzednio recenzowanej pracy – z pewnością dobrze się sprawdza, gdy idzie o interpretację szokujących dla Zachodu poczynań samej Aung San Suu Kyi, niepalącej się do „dawania świadectwa” za cenę politycznego samobójstwa. Autor słusznie wskazuje, że oczekiwanie od *Lady* werbalnego wsparcia dla prześladowanego przez Birmę muzułmańskiego ludu Rohingja czy więzionego przez chińskie władze kolegi-noblisty Liu Xiaobo jest nonsensem: Aung San Suu Kyi i tak nie byłaby w stanie im pomóc, za to odstręczyłaby od siebie potencjalnych sojuszników czy zwolenników. A przecież bohaterka książki Lubiny, co ten przyjmuje z pełnym zrozumieniem, „zawsze była politykiem”. Nie ona jest tu krytykowana, a zachodnia naiwność. Dotyczy to również oceny samego kompromisu Aung San Suu Kyi z juntą, jej upartego trzymania się wizji NLD (mającej wszak słowo „demokratyczna” w nazwie) jako wodzowskiej partii natychmiast usuwającej wszystkich dysydentów, a ostatnio (już po wyborach) jej tendencji do zagarniania jak największej liczby tek rządowych dla siebie. Lubina tłumaczy, że trudno robić z tego *Lady* zarzut: odmówiwszy ugody z armią pozostałaby symbolem tyleż niezłomności,

co nieskuteczności (co Ma Thanegi zauważyła już dawno), partia-monolit to jedyna opcja w warunkach ciągłej walki o przetrwanie, zaś obejmując kilka resortów naraz, Aung San Suu Kyi zapewnia sobie – jednej z nielicznych osób, którym w pełni ufa – istotne przywileje: minister w administracji prezydenta ma wpływ na głowę państwa, minister spraw zagranicznych zasiada z urzędu w Narodowej Radzie Obrony i Bezpieczeństwa (kontrolowanym przez armię kluczowym ciele politycznym) itd. Wydawałoby się, że nic tym wyjaśnieniom nie można zarzucić, ale...

I tu właśnie wracamy do sprawy Ma Thanegi. Lubina rozlicza ją nie z tego, jakie były rzeczywiste motywy jej kroku, nie z tego, czy miała merytorycznie rację i nie z tego, czy kierowała się chęcią pomocy Birmańczykom – tylko z tego, czy podporządkowała swoje czyny (i w wymiarze osobistym, i publicznym) karierze politycznej Aung San Suu Kyi. „Jako przyjaciółka [...] – nie bójmy się tego słowa – zdradziła ją. Zachowała się nielojalnie. Mogła się usunąć w cień i zachować swój krytycyzm dla siebie” (s. 393) – celuje autor oskarżycielskim palcem i to jest główny punkt jego refleksji.

Ja natomiast zadam pytanie, które w ogóle często przychodzi mi na myśl przy lekturze moralnych ocen Lubiny: dlaczego tak? A może to Aung San Suu Kyi zdradziła Ma Thanegi, przedkładając własną karierę polityczną nad wspólne (jak mniemała jej sekretarka) ideały, to ona zachowała się wobec niej nielojalnie (przyjaźń, skoro już autor użył tego określenia, z definicji działa w dwie strony...) i to ona zasługuje na potępienie? Praca Lubiny całkiem skrupulatnie pokazuje, że swoją nieustępliwością w sprawie sankcji Aung San Suu Kyi nie dała nic nikomu (chyba że światu symbol, ale był to symbol czegoś, z czym sama zainteresowana w ogóle się nie utożsamiała): rodaków wtrąciła w jeszcze większą biedę, kraju nie zbliżyła ani o piędź do demokracji, nie nadkruszyła władzy junty, za to zawiodła najbliższych, zarówno rodzinę, jak i osoby pokroju Ma Thanegi. Jedynie ona sama coś z tego miała – pozostała w politycznej grze i jest to dla Lubiny wystarczający powód, by w pełni usprawiedliwić jej postępowanie. Polityk ma być wszak skuteczny w zabezpieczeniu i umacnianiu swojej pozycji, w dążeniu do władzy oraz jej utrzymywaniu, to przecież jasne!

Pytanie jednak, dlaczego polityków mierzyć inną miarą niż zwykłych śmiertelników. Czemu niby egoizm Aung San Suu Kyi ma być z założenia moralnie lepszy, być czymś godniejszym i większym niż postawa Ma Thanegi? Albo niż postawa ludzi, którzy mając do wyboru politykę i bliskich wybraliby bliskich? Albo niż postawa generałów, którzy przy tak zdefiniowanym celu przyświecającym politykowi godnemu tego miana (innych celów autor nie wskazuje) dzielą go przecież z Aung San Suu Kyi w pełni? Oczywiście są powody, dla których Aung San Suu Kyi to postać cokolwiek sympatyczniejsza przynajmniej od junty, np. nie odpowiada ona za masowe rzezie, ale to kryterium autor jakby wstydził się eksponować w książce – średnio koresponduje ono z jego hiperrealizmem i antyidealizmem politycznym. W ogóle w sposobie formułowania myśli widać tu ogromną obawę, by przypadkiem nie zostać zaliczonym pomiędzy działaczy na rzecz praw człowieka i demokracji (myślę, że co do tego Lubina może spać spokojnie...).

Z drugiej strony autor lubi i podziwia Aung San Suu Kyi, więc próbuje ją tłumaczyć, jak się da, i jakoś to ożenić z poprzednimi kryteriami. Rezultaty niekoniecznie przekonują, czego najlepszym przykładem jest próba usprawiedliwienia postawy *Lady* wobec sankcji. Oto Aung San Suu Kyi, choć latami nawoływała do ich utrzymania, wiedząc, iż nie przynoszą sugerowanych przez nią skutków, wedle Lubiny „zarazem jednak dała ludziom nadzieję, a to jest przecież niepoliczalne” (s. 505). Tylko że ani nie o to jej szło, ani nie przeszkadzałyby jej w tym wcześniejszy kompromis z juntą.

Autor sam zresztą przyznaje z niechęcią w innym miejscu, że spora część Birmańczyków wiązała podówczas z Aung San Suu Kyi nadzieje na kompromis właśnie (s. 480).

Tak, Lubina udowodnił swoją pracę, że jego bohaterka to bezwzględna polityczka rozgrywająca ze skutecznością godną Littlefingera z *Pieśni lodu i ognia* G.R.R. Martina słabe karty, które ma do dyspozycji. To go tak fascynuje, że wymaga od niej znacznie mniej niż od innych i po cichu zaczyna fałszować szalki wagi dziejów na korzyść *Lady*. Najlepiej widać to w języku i sposobie opisu. Generałowie w jego pracy manipulują faktami przy użyciu „prawdziwie marksistowskiej dialektyki” (s. 584), a demonstrując przy tym „niesłowność” (s. 304) oraz „obludę” (s. 309), brną w „niedorzeczne tłumaczenia” i „zakłamanie [...] godne najlepszych komunistycznych wzorców” (s. 441–442), Ma Thanegi myląc się w opisie wydarzeń sprzed kilkunastu lat dotyczących Aung San Suu Kyi, „gubi się w zeznaniach” (s. 390), zaś wszyscy oni dostają za to rozbudowane erystyczne klapsy od Lubiny. Natomiast sama Aung San Suu Kyi nigdy nie robi takich rzeczy, co najwyżej „celowo wprowadza w błąd” (s. 382), ale w owych nierzadkich wypadkach zawsze dostaje w tym samym akapicie autorskie usprawiedliwienie: co ma mówić, przecież (Lubina *dixit*) to chyba jasne, że podobny stosunek do prawdy jest niejako wpisany w kondycję polityka? Nawet nazwanie generałów faszystami, „nieuczciwy” chwyt erystyczny Aung San Suu Kyi – najdalej idące określenie, na jakie się autor wobec niej poważył – jest przede wszystkim „światny” (s. 246), potwierdził jej znakomite wyczucie świata zachodniego oraz reguł PR, a do tego zadziałał i ich wszędzie zozydził! Brawo! Ma Thanegi „zdradza przyjaciółkę”, Aung San Suu Kyi w analogicznych przypadkach dokonuje trudnego wyboru, który sprawia, że drogi jej i osób dotąd jej bliskich się rozchodzą (ale nie jesteśmy od tego, by wchodzić głębiej w jej sferę prywatną, ucina w takich razach sprawę Lubina).

Nagle i niepostrzeżenie polityk, który się wybił, staje się w tych wywodach wyższą istotą, którą obowiązuje nieco inny zestaw norm niż resztę świata, ze skutecznością jako jednym z najważniejszych imperatywów, co autor łopatologicznie kładzie nam do głowy chyba kilkaset razy na 700 stronach. Złośliwy duszek każe mi w tym momencie zasynalizować, że ten sposób myślenia i te kryteria moralne można bez większego wysiłku obrócić przeciw Lubinie. Bo oto jaki wniosek, który być może nie przyszedł nigdy autorowi na myśl, przebija wówczas z kart książki: generałowie byli politykami bardzo skutecznymi w sensie utrzymania władzy (choć rządili źle), ale pod tym względem ich rządy miały jedną zasadniczą wadę: nigdy Aung San Suu Kyi nie zgładzili, choć okazaliby się wtedy jeszcze lepszymi politykami.

Gdyby to zrobili przed rokiem 2011, kiedy nie krępowała ich sytuacja międzynarodowa – np. prowokując jakiś wybuch „spontanicznego gniewu ludu” (wydaje się, że coś takiego część junty próbowała zaaranżować w Depayin, ale nie dopięła swego przez pech i sprzeciw kolegów), względnie po prostu fingując śmierć z powodu choroby – ich krzepko dzierzona władza stałaby się jeszcze solidniejsza. Znikłby jedyny rywal mający oparcie na Zachodzie. Ten ostatni, i tak już obłożony Birmę sankcjami, nie znalazłby przeciw niej nowego oręża, nawet gdyby władzom udowodniono mord. Zresztą zawsze można byłoby wskazać jakiegoś kozła ofiarnego – i już, przeszkoda dla normalizacji usunięta. Ze względu zaś na personalistyczny charakter polityki birmańskiej opozycja natychmiast rozpadłaby się wówczas na atomy – z tuzinami mało popularnych liderów klócających się, kto lepiej poprowadzi dzieło *Lady*. Juncie byłoby bardzo łatwo niektórych skaperować. O obecnej wiktorii wyborczej opozycjonistów, która generałom nie zagraża, ale wymaga nieustannej czujności, w ogóle nie byłoby mowy. Samej Birmie też by to mogło pomóc, gdyby np. sankcje w efekcie stały się

krótsze. Tak, pozbycie się Aung San Suu Kyi – do którego ostatecznie nie doszło, pewnie dlatego, że niektóre chwytły po prostu nie mieściły się w tradycji politycznej współczesnej Birmy – dałoby generałom najwyższe noty za skuteczność i dalekosiężne polityczne planowanie. Zasłużyliby sobie na bardziej pozytywną cenzurkę.

Odwracam kota ogonem? Nie, po prostu wyciągam wnioski z implikacji i wewnętrznych sprzeczności zaprezentowanych tu koncepcji. Coś jest nie tak z moralnym kośćcem dzieła Lubiny. Coś w rysowanych w tej skądinąd znakomitej książce ocenach wymaga gruntownego przemyślenia. Nawet w historii, co do której chyba każdy z nas kiedyś się ludził, że da się ją oddzielić od kłótni światopoglądowych, trzeba czasem jasno wskazać – a przedtem samemu się zastanowić – jak właściwie wygląda etyczny fundament naszych refleksji.

Tomasz Flasiński
Warszawa